



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół., kwartal. 5 marek

GWIAZDKA.

Poetą był ten, kto pierwszy dał nazwę *gwiazdki* podarkom kolendowym, jakimi krewni, przyjaciele obdarzają się w dzień wigilijny największego chrześcijańskiego święta.

Najlepszą gwiazdką jest dobra, przyjemne czytanie dająca książka. Każde dziecko starsze, młodzież wogóle, jeżeli nie jest już zupełnie tępego, ciężkiego umysłu, czytać lubi, lubi bardzo, bo świeża, zrywająca się do pierwszych polotów wyobraźnia potrzebuje stawy, która mu się tu dostaje. Zawiera się w tem ciekawość życia — ludzi, świata, u którego progów pierwsza ta młodość stoi, i wskutek zrozumienia w wychowaniu tej potrzeby wytworzyła się literatura dla młodocianego wieku, odmierzająca rozsądnie co i jak dać tu można, a której wydawnictwa ukazują się u nas tradycyjnie przed świętami Bożego Narodzenia. Rodzicom i wychowawcom niemniej należy widzieć co tam jest, a wiadomość ta zalicza się pomiędzy obowiązki wychowawcze, bo nietylko zła książka psuje. Nudna, bez talentu pisana, winną jest straconych korzyści i sprowadza tę szkodę ważną, że od czytania odstręcza, że dobrego smaku nie wyrabia.

Tegoroczna *Gwiazdka* przyniosła stosunkowo do lat dawniejszych plon nowości niezbyt bogaty. Między nakładami księgarni Gebethnera i Wolffa spotykamy prace odpoczywających już snem nieprzespanym nieodżałowanych pisarzy dla młodego wieku. M. I. Zaleskiej „Przygodny młodych podróżników” i Anczyca: „Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata” (wydanie trzecie). Że tu wszystko pomyślane jest dobrze,

ze względem należytych na to, co w książce dla młodego wieku powinno być i nie być, już czytelnikom naszym powtarzać nie potrzeba.

Do tegosamego rodzaju powieści dla młodzieży, których fabuła, jak libretto w operze, skreślona jest głównie dla przedstawienia tła, na którym się rzecz rozgrywa i stanowi opis dalekich stron świata, rozszerzający geograficzną, przyrodniczą wiedzę młodych czytelników, należy powieść: „Kopalnie króla Salomona” przez Haggard'a, przełożona bardzo dobrze z angielskiego przez pióro kobiece P. J. Sier... a wydana przez księgarnię Gebethnera... W Transwalu znajdują się ślady starej, zaginionej cywilizacji: drogi, przejścia wykute w skałach, galerie podziemne, niewiedzieć gdzie prowadzące, a wśród pustyni z waliska miast, zawiane piaskiem przez wichry wiejące tu od wieków, a których szczątkom, szkieletom kamiennym zaginionych dla wiadomości ludzkiej grodów, tensam uragan pustyni naraz wyłonić się każe na powierzchnię. Są legendy o podróżnikach, którzy twierdzili, że na oczy własne widzieli je — oglądali zwalisko Ofiru, że trafili na ślady fenickich, judejskich kopalni złota i trzymali w ręku odłamy kwarcu, zawierające złoto. Stosy ich były jakoby przygotowane już do rozbijania; Portugalczycy już tu szperali i legendy o ogromnych, wywiezionych z tamtąd skarbach złota, błakające się między osadnikami europejskimi w Transwalu dały początek książce, której opisy zaginionej przeszłości, obrazy tajemnicze, w posępem świetle w pół ciemności trzymane, zająć mogą bardzo żywo wyobraźnię młodych czytelników, jakkolwiek zarzucić im trzeba, że są często zbyt sensacyjne. Rozumny względ pedagogiczny chciał się przecież ustrzedz przed tem, aby to nie była pogoń za złotem — aby nie dla złota zapuszczano się w pustynie, zagłębiane w podziemia, walczone z jeźdźcami murzyńskimi, czarnymi kapłankami — czarownicami. Stojący na czele wyprawy lord an-

gielski poszukuje czarnymi kapłankami — czarownicami. Stojący na czele wyprawy lord angielski poszukuje brata, zaginionego przed laty, który, wyprawivszy się tu, nie wrócił, i to ocala moralny względ powieści.

Dla małych dzieci śliczną, miłą *gwiazdkę* stanowić może wydana też przez księgarnię Gebethnera i Wolffa w trzeciej już edycji *Zabawka* w obrazkach i wierszykach Chęcińskiego. Zaczyna się od alfabetu i daje jako opisy do tablic z ładnymi rycinami zwierząt, sprzętów domowych, przedmiotów do codziennego użytku, owe wierszyki miłe i proste, do których przyłączono kilka bardzo dobrze dobranych bajek Krasickiego. Jest to lekcya o otaczających dziecko przedmiotach według metody pogładowej i można twierdzić, że ucieszy się każdy malec, któremu ta *Zabawka* dostanie się na kolendę.

Księgarnia Maurycyego Orgelbranda przysłużyła się dobrze młodzi tych lat, które już dzieciństwem nie są, a jeszcze dorosłości nie docho- dzą przez wydaniem powieści p. Michaliny Zielińskiej: „Szesnastoletni Wojewoda”. Rzecz dzieje się w XIV wieku, rozpoczyna się na dworze króla Ludwika Węgierskiego, a kończy w Krakowie. Znane postacie z tej dalekiej przeszłości a między niemi na pierwszym miejscu Jadwiga, stoją na głównym planie, którego tło średniowieczne, barwne i dla dzisiejszych czytelników oryginalne, sprawia, że książka wychodzi poza ubite ścieżki podobnych wydawnictw dla młodego wieku i przez to jest szczególnie pociągającą. Łączy się z tem dla młodych czytelników i coś nauki historii. Obok znanych im faktów dziejowych występuje i tło obyczajów ówczesnych, na którym przedstawione, lepiej zrozumianemi być mogą, szkoda tylko, że autorka, które tę pracowitą książkę tak starannie napisała, nie podzieliła jej na liczniejsze rozdziały. Obecnie rzecz tak zbita razem, że ją tylko kropki kilkakrotnie rozdzielają, może przestraszyć młodego czytelnika,

któremu przecież dając książkę do ręki należy powiedzieć pospolitem wyrażeniem starem: — Niech spróbuje, jak to smakuje.

Smakować musi, smakować tak powinno młodzi, która jest dobrej wiedzy chciwą, że lepszej gwiazdki nikt im dać nie może. Że przecież tom jest gruby, że mieści dużo faktów nieoddzielonych od siebie przez żadne punkta wytyczne, radziłabym czytelnikom, aby, czytając, robili sobie wyciągi, co im ułatwi uchwycenie przez pamięć przedmiotu. Ktoś może tu postawić ze względów pedagogicznych jeden jeszcze zarzut, że młodzież małoletnia jest w akcji powieściowej tak na pierwszy plan dziejowych wypadków wysunięta, jakgdyby rozgrywały się one za jej współudziałem szczególnym. Że przecież sfera działania leży tu najzupełniej poza obrębem tego, co młodych czytelników otacza — że zadnego rysu podobieństwa z ich życiem, jego wypadkami mieć nie może, zarzut upada, a pozostaje powieści ta zasługa niemała, że młodą wyobraźnię szlachetnie uskrzydli, że coś podnioslejszego, niż powszedniość codzienna umysłowi ich przedstawi, a — dodać trzeba — rzecz to wiele znacząca, rzecz to w oddziaływaniach książki na umysł bardzo pożądana, bo dla czegoż to jest w wychowaniu pożądanem, aby młódz czytała? Naukę właściwą dostaje ona drogą inną, ale książka odpowiednio dobrana daje umysłowi zajęcie podnioslejsze, niżeli prosta zabawka; maluje to życie, które młodzież zna tylko przez strony jego powszednie, jako arenę, na której ludzie zarabiają sobie na dobre imię, na miłość i szacunek współbraci, lub — gdy wybiera złą drogę, popadają w pogardę, zestępują na poziom życia niższy. Dobrą ambicyą rozbudzać nie jest rzeczą złą i gdy się stawia przed młodą myślą takie cele uczciwości i cnoty, które podnoszą nad popolisłość wygody i używania jedynie, gdy się pokazuje młodości przy pierwszym myśli rozbudzeniu, jak należy pracować na zarobek moralny, jak przez kierunek pragnień szlachetnych idealne jakieś uskrzydlenie — miłość wyższej cnoty braci, jest to przygotowywać go do życia, które tworzy postać ludzką na miarę „nie krawca, ale Fidyasza“.

„W imię koleżeństwa“ powieść dla młodego wieku przez Bronisławę Porawską z 4-ma rycinami, jest mniej więcej tejsamej objętości co poprzednia, ale rozgrywają się tu rzeczy z życia powszedniego, zadługo, aby książka stanowiła właściwie czytanie dla młodzieży, bo wszystkie działające tu osoby muszą przez ten czas dorosnąć i historia ich jest historią życia ludzi dorosłych.

Jest to poniekąd przedstawieniem konsekwencji, jakie wypływają z danych pierwszej młodości, co jest dobrą racją pedagogiczną w opowieści dla młodego wieku, ale książka mieści ten błąd ważny, błąd zasadniczy, że jest i krytyką postępowania rodziców. Na samym wstępie znajdujemy matkę, której przesady źle oddziaływały na dzieci — psują je i gdyby nie wpływy poboczne, szczęśliwie spotkane i pocziwie użytkowane, wyrobienie moralne głównego bohatera Alfreda i siostry jego Ely byłoby spazconem przez fałszywe pojęcie godności człowieka, która może i powinna opierać się głównie na podstawach własnej jego dostojności duchowej. Wogóle powieści dla młodego wieku, które przechodzą w szczegółowych obrazach poza kres tego wieku, dla którego są pisane, nie odpowiadają zadaniu. Można ukazać w perspektywie konsekwencje szlachetnych młodości zarobków lub strat, jeżeli czas i zdolności zostały zmarnowane, jeżeli barki młode nie umiały się dobrze podstawić pod brzemień pracy, której owoce zbiera życie, ale trzeba to robić umiejętnie, trzeba mianowicie wiedzieć dla kogo książkę się pisze. Luźny morał nie starczy, aby umoralnić ludzi: nie godzi się przedewszystkiem władzy rodzicielskiej wobec dzieci krytykować. Niemiłym szczegółem jest tam zepsuty i niepoprawny chłopak z bruku warszawskiego wzięty. I on sam i jego złodziejstwa — są niemiłe.

Za to czytelnik spotyka się wśród wydawnictw Orgelbranda ze śliczną powiastką przełożoną z angielskiego bardzo pięknym językiem przez T. P. (zapewne Prażmowską). I tu dziecko gra rolę ważną, chłopiec wyrostek dokonywa rzeczy

wielkiej: godzi dwóch nieprzyjaźnie usposobionych dla siebie ludzi, ale tu jestto przeprowadzone w sposób naturalny i szlachetny. Chłopiec rzuca się w wodę — morze, na ratunek człowieka tonącego. Nie ma czasu się zastanawiać, czy zdoła tego dokonać, bo popęd uczucia, który jest, musi być zawsze wśród okoliczności takich gwałtownym, jak silne drgnienie gorącego serca, każe mu to uczynić, a konsekwencje tego pięknego czynu sprowadzają ten rezultat, że stara waśń rodowa, rozdziałająca dwie gałęzie jednej rodziny, zostaje załagodzoną i wszystkim dostaje się jakiś dział szczęścia: staremu samotnikowi ciepło rodzinnego otoczenia, rodzinie ubogiej mienie, potrzebne im, aby żyć bez ciężkich walk z losem. Co to za wyborna gwiazdka szczególnie dla chłopca, któremu przedstawia piękny typ śmiałej dzielności męskiej i dumy dostojnej.

Druga książka tłómaczona także z angielskiego przez tąsamą tłómaczkę „Goście ciotki Klotyldy“ jest również dobrą i zajmującą, z pewnym talentem napisaną powieścią, tylko już to rzecz, powszedniejsze wypadki życia odtwarzająca, więc spokojniejsze, czyta się jednak przyjemnie i przez wyrażone tam zdania o życiu, jego celach i potrzebach dobry wpływ na umysły młode wywrzeć mogącą. Do wyjątkowo dobrych podarunków gwiazdkowych zaliczyć trzeba „Fabiolę, powieść z czasów prześladowania chrześcijan w roku 302“, napisana poangielsku przez kardynała Wiesemana, streszczoną tak przez autorkę podpisującą się M. A. M. w przekładzie polskim, że zrobiła się z tego niewielka książka, która obok zajmującego czytania dać może dorastającej młodzieży pewną wiedzę starego rzymskiego świata: jego obyczajów, wierzeń, nastroju myśli i uczucia w tej chwili czasu, gdy stary porządek starego świata rozprzegął się, a wschodząca jutrzienka wiary Chrystusowej, dając życiu i jego sprawom inne, nowe oświetlenie, przemieniała stary stan rzeczy na nowy. „Fabiola“ w oryginalnym texcie swoim zalicza się do klasycznych dzieł naszego czasu i streszczenie jest jeszcze książką niepospolitej wartości, nadającą się szczególnie na czytanie tego młodego wieku, który już nie może znajdować dostatecznego zajęcia w książkach, pisanych dla dzieci, a pewien tylko wybór z literatury powszechnej na czytanie jego się nadaje.

Nie jest to bynajmniej przesadną troskliwością ze strony rodziców i kierujących wychowaniem młodzieży, jeżeli czuwają, aby obrazy złych, gwałtownych namiętności nie przychodziły plamić wyobraźni, lub wstrząsać gwałtownie uczuciami młodzieży. Siły tu jeszcze nie pełne, umysł niedojrzały, doświadczenie życia, wiedza jego nienabyta, trzeba więc takiego środka chroniącego przed skrzywieniem, jakim jest palik, który w szkółce młodych drzewek daje się płonkom, nie dość jeszcze mocnym, aby się trzymały, nie krzywiąc, o własnej sile. Gdy taką siłę przyniesie człowiekowi dojrzałość umysłu i nabyte doświadczenie, w ten czas już on sam radzić sobie powinien — sam dobierać sobie to, co ma dobrze wśród zapasów życia ducha jego podnosić, fantazyą uskrzydlać, zapał uczuć wzmacniać. Czy i wtedy nie straci on, jeżeli nie zechce być dostojnie wybrednym w gustach swoich co do pokarmu dla myśli, dla wyobraźni? Jeżeli ludzie rozumiejący życie i człowieka uznają za prawdę zdanie: Pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kto jesteś... należy wierzyć, że wybór książek, które czytamy, bynajmniej nie mniejsze ma znaczenie, bo czyż nie są to również przyjaciele nasi i towarzysze życia, z którymi obcowanie musi odbić się na nas wpływem dodatnim lub ujemnym? Smak umysłu wyższy, lub niższy, charakteryzują też osobistość człowieka. Nie jest on, nie może być nigdy istotą podniosłą, duchem wysokim, jeżeli lubuje się w rzeczach lichych, i gust tu nasz, to kolor naszego ducha.

M. Ilnicka.

Jak można być szczęśliwym „nawet“ w małżeństwie.

(Dokończenie).

Wiele osób sądzi, że małżeństwo staje się dla mężczyzny wyższego ducha przeszkodą w kroczeniu górną drogą poświęcenia dla kraju, dla idei; autor odpowiada przecież, za mniemanie to jest mylnem, tylko tacy ludzie powinni dobierać sobie żony odpowiednich poglądów na życie i szczęście — na obowiązek, a znajdują w nich raczej pomoc, niżeli przeszkodę do czynów podniosłych. Kto pokochał nisko, czyja miłość była jedynie tem, co poeta nasz określa przez słowa: — Pokochały się w niej moje oczy... ten odbiera następnie karę za poniżenie tego związku, który Chrześcijaństwo podniosło do godności Sakramentu. Tylko miłość szlachetnego dla szlachetnej zasługuje przecież na to określenie uświęcające i wtedy żadne z tego dwojga nie schodzi niżej, ale przeciwnie udostajnia się i podnosi.

Autor przytacza tu szereg przykładów, że tak być może, że tak bywa w życiu. Lady Rachel Russell stała się jedną z historycznych kobiet Anglii dla tego, że umiała w ciężkich chwilach życia męża być mu pomocą i podporą — że stała się w nim odwagą, gdy wśród domowych walk Anglii został oskarżonym o przestępstwa polityczne i uwięziony stanął przed sądem parów. Ona była zawsze przytomną w sali badań, było w niej przytomną zawsze tak, aby mogł ją widzieć, gdy odpowiadał na zapytania, a to dlatego, aby jej przytomność dodawała mu ducha i nie dała upaść na siłach, jak napisała w pamiętnikach swoich.

O'Connell przyznawał głośno, że był wiele winien wpływowi żony, kobiety gorącego serca; Walter Scott powtarzał to samo, choć w sposób inny, utrzymując, że żona była jego natchnieniem jego; miłość dla niej podtrzymywała w nim talent twórczy, ponieważ serce w piersiach mu nie stygło, uczucie nie słabło.

Rzeźbiarz Flaxman, pokochawszy się i ożeniwszy, uczuł nagle jakoby żal nad przeniewierzeniem się sztuce, jak to nazywał, bo człowiek żonaty a niezamożny nie mógł już rozrządzać sobą — nie mógł obracać na cele sztuki, wyższego kształcenia się w sztuce, tych funduszy, które, będąc samotnym, byłby z radością na to oddał. Chodziło tu o pobyt w Rzymie. — Nie mogę tem jechać — rzekł raz z tłumionem uczuciem żalu, ale ona potrząsnęła głową: — Pojedziesz — odparła mężnie, i pojechał rzeczywiście, bo tak oszczędzała, tak pracowała, że rzecz stała się możliwą.

Ale pojechali oboje, gdyż mąż nie mógł się już teraz rozstać z taką żoną, a gdy powrócili do kraju po pięciu latach wspólnego pobytu w Rzymie, on zapragnął wtedy, aby pozostał ślad jego dla niej wdzięczności, jego szczęścia przy jej boku, i album, pokryte allegorycznymi obrazkami tej pomocy, jaką miłość szlachetnej kobiety daje mężczyźnie krocącemu górną drogą życia, pozostało na świadectwo jego dla niej wdzięczności, a jej dostojnego pojmowania obowiązków miłości małżeńskiej.

Autor zebrał znaczną liczbę przykładów dowodzących, że kobieta z duszą szlachetną, z sercem kochającym, jest pomocą, a nie przeszkodą, mężczyźnie na każdym polu pracy dla kraju, dla ludzkości. Lady Napier, żona historyka, Williama Napiera, przepisywała własnoręcznie ogromne foliały tak nieczytelnych rękopism męża, tak pełnych poprawek i przypisków, że nikt inny prócz niej nie byłby mógł tego uczynić. Mąż złożył świadectwo tej jej ofiary, dziękując jej za to w przedmowie, a dodać należy, iż pani ta była matką licznej rodziny, której wychowaniem zajmowała się troskliwie i osobiście. Należała przecież do tych kół arystokratycznych, wśród których używanie życia nie potrzebuje być odjętem żonie z powodu, że mąż towarzyszyć jej nie może, dzieci zaś mogą mieć tyle ochmistrzyń nau-

czycielek, ile ich potrzeba. Ale ona kochała, podejmowała więc trudy życia, które były dla niej rozkoszą serca — były uczciwym wypełnieniem obowiązku. Żona Stuarta Milla była podobnie poświęconą, podobnie dobrą żoną a ślad wdzięcznego uczucia, które budziła w sercu męża, pozostał w dedykowaniu jej dzieła: „O wolności”. Już nie żyła, gdy wyszło, a on, poświęcając jej pamięci „przyjaciółki i małżonki”, dodał, że wszystko, co napisał, należy do niej po połowie, bo ona to była mu podniecią i natchnieniem, była jego współpracownicą, bo wszystko, co napisał — każde jego dzieło czytała w rękopiśmie i myślała nad nim, dzieląc się następnie z mężem owocami tych namysłów, z których on niejednokrotnie korzystał.

Autor przytacza tu i ów znany ogólnie fakt historyczny, jak kobiety wyniosły mężów na barkach z obleżonego miasta, z Weinsberga, a to wskutek tego, że akt kapitulacji miasta pozwalał im zabrać co miały najdroższego. Mężowie byli dla kochających żon skarbem ceny najwyższej, ich więc uniosły.

Wyształcenie umysłu małżonki uważa angielski autor za rzecz potrzebną do szczęścia wyształconego mężczyzny. Przykład stosunku Milla do żony nie jest jedynym, a choć niekażdy mąż jest pisarzem, każdy mąż przecież potrzebuje mieć w żonie przyjaciela i nierazko doradcę, rozumiejącego życie tak, jak i on. W tem-to znaczeniu stary nasz język dał żonie nazwę połowicy, bo powinna po połowie dzielić z mężem życie, jego trudy, prace, jego myśli, a jakże zdoła to uczynić nieoświecona, niepomująca życia z tego podniosłego punktu widzenia, z jakiego on na nie patrzy? Moznaby tu dodać, że mężczyźni należą też o tem pamiętać, gdy się żeni; powinien nie dać się podbić wdziękowi samej urody, a przytem nie spekulować na posag. Jest to więcej nawet niż troskliwość o przyszłe szczęście; jest to troskliwość o godność swoją — jest to nie sprzedawanie siebie samego, kupująca ma potem prawo cenić go tak tylko jak towar, potrzebny jej wśród życia, i doświadczenie życia uczy, że tak bywa. Kobieta może zostać oszukana pod tym względem jako narzeczona, ale prędko otwierają się oczy żony, a wtedy co za zawód... co zaból serca, ile w nim żalu i goryczy! Że zatruta temi uczuciami staje się cierpką dla męża, że traci szacunek dla niego, że mu wyrzuca los swój — to rzecz prawie naturalna i tylko najlepsza już może się nad to podnieść litościwie; ale czy taka właśnie — taka, która nie jest poziomą, która wie co może jednać ludziom szacunek, co ich podnosi lub poniża, zdolna już jest kochać wtedy? Małżeństwo dla interesu nietylko szczęściem nie darzy, ale jest winą i grzechem, bo jest podstępem, jest oszukaniem strony drugiej. Tak mężczyzna, jak kobieta dopuszczająca się takiego związku są winnymi zamachu na szczęście tej strony drugiej, którą nierozważalnemi węzłami do siebie przykuwa. Że po przekonaniu się o tem pęka miłość tej, czy tego, którzy są tu oszukanymi — dziwić się nie można i pamiętać też należy te słowa Fichtego: „Prawdziwa i trwała miłość nie może istnieć, jeżeli nie jest opartą na szacunku, bo inaczej następstwem jej jest żal jedynie, gdyż miłość w takim razie jest niegodną szlachetnego serca”.

A jaki to podstęp okrutny tak związać życie czyjeś! Jaki to rozbój, można powiedzieć, bo nie myli się stara nasza piosenka, że „bez miłości trudno żyć“ a ta oto ofiara zostaje skazaną na takie życie właśnie — życie bez szczerzego podziału uczuć, życie samotne, aż do grobu!..

Thackeray gani to silnie mężczyznom, gdy szukają w żonie istoty podobnej do cacka. Takie milutkie lalki bez wartości wewnętrznej nie wystarczają w pewnych godzinach życia — w jego momentach ważnych właśnie. Nie uważa on też kobiecie za rzecz złą, jeżeli staje surową dla męża w chwili, gdy zasługuje na to. Lord Beaconsfield (Dizraeli) przyznaje że małżonka jego, którą zowie „najdoskonalszą żoną“ była niemniej najsurowszym krytykiem jego dzieł. Miłość, jeżeli nie jest niską, musi być pilną w strzeżeniu tego, co uważa za godność osobistą osoby ukochanej, i każda dobra żona, tak jak i dobry mąż, czyni

to troskliwie. Stadłem prawdziwie szczęśliwym można przecież nazwać parę ludzi, złączonych ze sobą aż do śmierci, gdy rzecz ta staje się już niepotrzebną — to znaczy, gdy wierzą sobie, wierzą w siebie mocno i bezwzględnie.

Shakespeare radził raz dziewczynie, aby przy wyborze męża nie uważała na jego urodę, na jego tak zwaną prezencją światową, ale szukała przede wszystkim dobrego serca. — „Dobre serce — do wodził — jest słońcem, jest księżycem, a raczej słońcem niż księżycem, bo świeci zawsze równie jasno i nie podlegając nigdy zmianie, zawsze jednej drogi się trzyma“. Dobre serce jest też w małżeństwie skarbem wielkim. Nikt nie jest bez wady, więc też niema takiego człowieka, któryby nie zawinił czasem względem nas, ale dobre serce wyrozumie to i przebaczy: nie zatnie się w gniewnej obrazie, wyciągnie rękę do zgody i da w ten sposób szczęście sobie i towarzysowi życia.

Spotyka się nieraz w osobie ukochanej i wybranej na życie wspólne aż do śmierci wady „bo ktoś jest bez wady?...“ — woła Mickiewicz przez usta Konrada Wallenroda. Gniewliwość, unoszenie się łatwe, tak zwany *gwałtowny charakter*, należy do liczby tych wad, niewidzialnych zrazu, które przecież mogą zatruć życie wspólnie wiedzione, jeżeli druga strona nie uzbroi się w cierpliwość łagodną. Bywają naodwrot charaktery miękkie, nieumiejące się opierać naciskowi zewnątrz: ludzie, których u nas nazywają w mowie pospolitej masłem maślanem. Porcyca w sztuce Shakespeare'a: „Kupiec Wenecki“ woła: „Wolałabym raczej wszystko niż zostać pślubiona takiemu gapiowi!“ ale gdy już ślub złączy kobietę, czy mężczyznę, z taką nicością bezbarwną, wypada stronie mocniejszej podeprzeć siłą własnego charakteru takie drzewo chwiejne bo jakże inaczej zabezpieczyć je od upadku, czyli siebie od nieszczęścia?

Przed zawarciem małżeństwa trzeba się namyślać, ale potem niema już innej rady tylko to, co się znajdzie złem, troskliwie, starannie, cierpliwie na dobre przemieniać, i to jest nietylko spełnianiem szlachetnie pojętego obowiązku w małżeństwie, ale staraniem rozumnym o własne szczęście nasze.

Do praktycznych rad autora należy rozumnie zwrócić uwagę, aby wyprawa panny młodej, ekwipowanie się młodego pana — urządzenie sobie siedziby wspólnej nie było zbyt kosztownym, nie było wysiłkiem. Wiadomo do czego ich zbytek doprowadzić musi, jeżeli nie chcą oszukiwać się co do środków posiadanych — co jest występkiem a zarazem nierozsądkiem, bo rzecz przecież wyda się, a wtedy miłość — miłość prawdziwa, pęknąć może nie przez zawód materialny ale moralny — przez odkrycie w ukochanej osobie poniżającej charakter kłamliwości, a jakże wtedy smutnemi się stają te pierwsze chwile małżeństwa, które zowią się miesiącem miodowym! Jest to wtedy miesiąc pióluowy, lecz nie ten tylko jeden zawód może przynieść smutne rozczarowanie. Rysy charakteru małżonków już zaczynają się ujawniać i niech mąż nie zobaczy w ukochanej kobiecie istoty kapryśnej i despotycznej — niech w niej nie odkryje złego serca, nicości charakteru, małości ducha, podobnie jak i ona niech nagle nie ujrzy, że mąż jej jest małoduszny, wyższej treści moralnej pozbawionym człowiekiem. Biada, gdy się tak stanie, zanim charakterzy ułożą się do siebie, zanim oddziaływanie męża na żonę, a żony na męża zdoła wyrównać niejedną chropowatość, podnieść i uszlachetnić niejedno co tam jest niskiem.

W tej myśli pisze autor, z uwagą na pierwsze czasy małżeństwa, rozdział wyborne zatytułowany: „A uważać tam na kamienie!..“ Tak się ostrzega woźnicę, jadącego nieznaną drogą, i młodzi małżonkowie są wtem położeniu — są dla siebie *terra incognita*. Autor daje tu wiele rad praktycznie rozumnych, a jedną z ważniejszych jest ostrzeżenie przed zbytelnym wymaganiem czułości, przed objawami zazdrości. Nikt i nigdy miłości gwałtem nie zdobył, a czułośćkliwość nie jest czułością. Miłością przecież — miłością częścią jest wiara w charakter, w serce ukochanej osoby, a zazdrość temu właśnie przeczy. Miesiąc miodowy jest z konieczności obserwowaniem się wzajemnym, poznawaniem charakterów i niech

nie da rozczarowania, zanim jedna osobistość ułoży się niejako do drugiej — zanim nastąpi prawdziwe poznanie się tych dwojga w cnotach swych zasadniczych, w głębszych rysach charakteru, które nie ujawniają się tak łatwo, jak wady. Miłość małżonków bywa więcej ślepa, niż miłość kochanków, i nie trzeba też, aby było inaczej, aby niedobre uprzedzenie zaostrzało zaraz w początku jej wzrok na wady, bo może przesłępić przymioty, a wtedy nikt tu już szczęścia nie daje, nikt go nie bierze.

Dzieci przyjdą potem zacieśnić węzeł między mężem i żoną. Wychowanie ich wtedy tylko może być dobre, gdy nie tylko przywiązanie wzajemne małżonków, ale zgodne zapatrywanie się obojga na życie pozwoli, aby tu panowało prawo stałe, oparte na szczerzej zgodzie obojga, co do pojęć o życiu i celów życia. Silnie i rozumnie upomina autor, aby przywiązanie rodzicielskie do dzieci udoskonalilo w ojcu ich i matce to, czego nie zdołała jeszcze dokonać miłość kochanków, miłość małżonków. Najważniejszym celem małżeństwa jest wychowanie dzieci. Nieraz dla tego celu — dla tego, aby wychowanie owo mogło być dobrem, rodzice zatłumiają swoje wady i czynią sobie ustępstwa wzajemne. Pierwsze wychowanie należy niemal głównie do matki, a ma ono wagę niezmierną. Autor daje tu wiele rad dobrych i rozumnych i już dla tych tylko rozdziałów, choć wszystko tu jest pisane dobrze i rozumnie, ze znajomością natury ludzkiej, życzyć sobie należy aby książka rozeszła się w znacznej liczbie egzemplarzy, aby ją czytało jaknajwięcej osób. Można podejrzewać mężczyzn, że ich liczba, jako czytelników, będzie mniejsza, warto przecież, aby żona choć podstępem miłosnym, wymogła czytanie wspólne choć kilku rozdziałów. Niech to będzie wtedy rozdział XXI pod tytułem „Promień słońca“, bo jakie to piękne, rozumne są tam rady i wskazówki dla tych dwojga ludzi, którzy mają żyć ze sobą w tak ścisłej wspólnocie, że wszelka doła i niedoła jednego jest dołą i niedołą drugiego!

Można też całokształt tych rozumnie dawanych przestrog i uwag zawrzeć w przytoczonym tam nakazie św. Augustyna: „W tem co jest zasadnicze, jedność; w tem co wątpliwe, wolność — we wszystkim miłość“...

Gdy tak jest, dadzą się dokonać dobrze wszystkie obowiązki, jakie życie wkłada na związaną ze sobą do grobu całe parę małżonków i wtedy można znaleźć szczęście nawet w małżeństwie.

M. Ilnicka.

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Nie spostrzegł się, że go wyprzedzili rówieśnicy i dziewczęta, szedł coraz wolniej — samotny.

Ci ostatni dogonili go i minęli.

— Pochwalony! — rzekła Makuszanka życiwnie.

— Dzień dobry! — mruknął młody Czyruk.

On coś niewyraźnie odpowiedział i patrzył na Łucysię.

Milczała, nie podnosząc od ziemi modrych oczu; żary rumieńca miała na twarzy i zakłopotanie okropne.

Przeszli — parobek patrzył za nimi.

Złoty warkocz pieściło słońce. Był jak dojrzale pszenicy wiązanka, taki bujny i ciężki.

— Czyruków Tychon chodzi za Łucysią! — brzmiało uparcie w głowie parobka. Opanowała go nuda nieznośna, potem cichy, głęboki gniew i mściwość.

Teraz-by z rozkoszą ten warkocz targał, garściami to złoto żywe wyrwał!

Ciężyło mu coś. Myślał, że to buty nowe, świta, czapka odświętna; włókł się jak stary.

Ostatni przyszedł do Bożego domu.

Kościół był drewniany, zewnątrz jaskrawo pomalowany, wewnątrz nagi. Lud go zapełniał po brzegi. Głowa przy głowie, piers przy piersi—stali wszyscy.

Gwar panował jak w ulu, popychanie, szamotanie.

I słychać było urywki rozmów, prowadzonych między sąsiadami:

— Ta woły, bo woły — byle pasza.

— Za dwadzieścia rubli siana zjadły.

— Zasiałem wczoraj owsa króbkę. Nie wiem czy urodzi, bo niż tam pod Osową, a codzień moczy.

— Wczoraj kobyła się wyzrebiła. Żrebica lysa — jak to malowanie.

Tu ktoś się wtłaczał pomiędzy nich, więc rozmowa się zmieniła.

— A cóż jarmark? Widziliście byka?

— Widziałem, i sprzedałem.

— Dali sorok?

— Dali — i baryszu pół garnca.

— Słyszeliście? Czechów Maxym onegdaj u Chryna dwa sery ukradł.

— Mohe! Złowili? To durny!

Śmiech się rozlegał.

— Moja kumol! — mówiła baba jakaś, głową trzęsąc — hultaj-bo hultaj, ta Motruna Syluków. Podumaj-no: toć bezdzietna, zdrowa, a przez zimę trzy tylko hyby (miara) płótna utkała. A grubeż to, a węzłowate!

— Ja wczoraj ostatnią sztukę odciełam. Pietnaście hyb, jak to złoto gotowych, a już i andaraki posnute.

— Dobry len się udał. Jak się susza wzięła, to we mnie serce zamarało, a no deszczyk odratował.

Dwóch wyrostków tłoczyło się naprzód, bez ceremonii na prawo i lewo rozdając szturchańce. Baby zaczęły im wymyślać, oni odpowiadali podobnie; tłum ich rychło rozdzielił.

Stanęli obok siebie i starszy szeptał:

— Tak ty uważaj. Jak się zmierzchnie, to ja wejść do chaty i będę ich zabawiał, a ty przez chlew do komory się wśliznij. Już ja tam kamień zpod ściany wysunął. Prawej strony się pilnuj — tam na drążku wiszą.

— Wiszą? Widział ty dobrze?

— Widział. Kielbas par z pięć i kumpiak (szynka).

Jak złapiesz, to na wygon leć — do koni!

Tu podnieśli głowy, bo śpiewacy chórem zain-tonowali:

— Zmiłuj się Boże! Zmiłuj! — i tłum zakolysał się w pokłonie.

Ale za ludem, ani śpiewaków, ani księdza widać nie było — więc po chwili znowu szmer rozmów zgłaszył modlitwę.

Kalenik wparł się z trudem do środka i docisnął do bocznego ołtarza. Kilkanaście świeczek malutkich płonęło przed nim. Były to ofiary.

Przed świętym złocistym klęczała kobieta.

Trzy świeczki dobyła z zanadza, kilkakrotnie dotknęła czołem podłogi błotnistej, i owe świeczki skręciła naopak „przeciw słońcu“.

Ruch ten zastanowił parobka, wtajemniczonego w zabobony.

Tak się czyni, gdy się przeklina kogo uroczyście.

Poznał kobietę. Nieopodal jego chaty mieszkała.

Skręciwszy świece, wstała, zapaliła wszystkie trzy knoty i przed obrazem zatknęła tę ofiarę.

Potem upadła na ziemię i, rozkrzyżowawszy się, jęła mówić, tak głośno, że słyszeli wyraźnie otaczający:

— Weźmij ty, Boże, onego, co mi płótno ukradł, i tak mu kości pokręć, jak te świeczki ja pokręciłam!

Niech mu to moje płótno na śmierć służy, niech go w niem robaki toczą, niech mu z każdej nitki rana stanie na ciele, niech mu oczy wyjdą, niechaj go wilkiem wodzi po błotach!

Jako te świeczki płoną, tak niechaj go gorączka pali, niechaj mu węgiy ogień weźmie, niech mu dobytek poniszczę. Tak ja go przeklinam i przeklinać będę co dnia, co nocy, co ranka, co wieczora, jedząc i pijąc, śpiąc i pracując, żeby on zmarniał, żeby on przepadł, żeby go na rozstajach dyabeł zadusił! Amen.

Ludzie, słuchali, rozstępowali się, żegnając, przerażeni i uszanowaniem zdjęci. Po ciele Kalenika dreszcz przeszedł. Usunął się i on; baba została u obrazu na ziemi i mówiła dalej — ciągle, a świeczki paliły się, skwiercząc, a z lnianych knotów długie pasemka dymu wstępowały do góry.

— Boże, zmiłuj się! Zmiłuj! — raz drugi chór szkolników zaintonował. Ostre wonie kadzideł rozeszły się po tłumie, który się znowu zakolysał, do ziemi po kilkakroć czoła chyląc.

Teraz w głębi głos księdza się rozległ, czytającego ewangelię.

Pojedyncze słowa i dźwięki dobiegały tylko uszu.

— Cyt-że! Cyt! — wołali starsi.

Ale już młodzież rzuciła się do odwrotu z hałasem okropnym i tratowała, kogo nie pociągnęła z sobą.

Słychać było:

— Puść! Zadusisz! Bodaj ciebie liche zjadło!

— A dasz porcyą? Zadałek na flis wzięłeś.

— Boh me! Nie udawaj. Albom nie widział, jak cię Kipryan ścisnął!

— To święto. Niech żyd garniec postawi, a nie, to go ze wsi wyrzucić.

— Ty złodzieju! szelmo! Wyjadacz!

Wysypali się przed kościół. Twarze były czerwone i spocone od zaduchu i ścisnu. Na cmentarzu tu i ówdzie zaczynały się bijatyki.

Blisko drzwi Kalenik spotkał stryja.

— A co? Byliście u spowiedzi? — spytał.

— A jakże! — Sydor się zaśmiał tryumfująco.

— Chytry ksiądz, ale ja jeszcze chytrzejszy. Zachodził on mnie z tej strony, zachodził z tamtej. Pytał prosto i krzywo, godzinę męczył — a taki ja jemu nic nie powiedział.

— Aaa! — zdumiony zawołał Kalenik, przejęty dla stryja rzetelnym uszanowaniem. — On i mnie męczył tamtej niedzieli, ano ja durny mówił tak na wszystko!

— Wiadomo, że ty durny! — pobłażliwie rzekł Sydor.

Hrywda, oddawszy co boskiego Bogu, szumną, huczącą falą wylała się na gościniec. Tu chwilę skupił się tłum, ale wnet rozbiegł się w stron kilka, rozbity na drobniejsze potoki.

Starzy pociągnęli w pola jeszcze puste, aby runie obejrzyć i o dawnych czasach pogwarzyć; odpowiedziali chat gospodarze zwrócili się do zarządu gminy, gdzie, jak w każdą Niedzielę, sądy się odbywały i narady; parobcy zdążyli do karczmy: tylko kobiety wracały do chat, do ognisk, kwapiąc się, by parogodzinną zwłokę odpracować.

Po chwili kościół, pusty, duszny od kadzideł, zamknął sługa, aż do następnej Niedzieli.

Kalenik doczekał się Łucysi i Tychona. Wracałi, jak przyszli, razem — pod eskortą matki. Przyłączył się do nich i rozmawiali o potocznych sprawach.

Dochodząc karczmy, Hubenia zaproponował „porcyą“.

Weszli, bo żadne chłopskie serce tej się pokusić nie oprze.

Parobek kazał dać kwartę wódki i śledzia dla każdego.

Usiedli za stołem, wypili po kieliszku zagryźli śledziem. Nie wydał się dość słonym: więc kazali żydówce podać soli, maczali go i jedli.

Potem wypili po drugim kieliszku. Kalenik rękami usta otarł, zaczął przekomarzać się z Tychonem. Kobiety się śmiały, śmieli się wszyscy obecni.

Czyruk oddawał żart za żart. Chuderlawą jego postać wziął za cel dowcipów Kalenik — najdrażliwszą kwestyą wioskowego „mołodca“.

On sam, rosły, silny, czwaniał się swą mocą i wzrostem.

Na ciemną twarz Tychona występowała krew. Ludzie się śmieli pogardliwie — śmiały się kobiety.

— Żeby ty żonkę wziął, toby ciebie biła co dzień. Żeby ciebie bocian na łące spotkał, toby wziął jak żabę. Chcesz? najemę cię jak proso dojrzeje, cobys w niem stał od świtu do nocy. Nocą to cię zwolnię, boby cię sowa zjadła. Jak ty kosisz, to pewnie ciebie kosa wodzi, a nie ty ją. A wołyż u ciebie, woły! Zagładają na rataja a baczą holopa (kość) je zagania. Był ja kiedyś na wieczernicy, a tu psy wyją, dziewczęta się postrachały. My patrzmy, aż to Tychon, radby wejść, a nie może, bo psy jak tę kostomacnę (szkielet) zobaczyły, łają jak wściekłe.

Ogromny, homeryczny śmiech ogarnął karcznię ludźmi natłoczoną.

Czyruk poskoczył z miejsca.

— A nu, pomocujem się! — krzyknął, zwijając pięści.

Rzucili się na siebie. Rozległy się głuche razy.

Kobiety zbiły się w kąt, krzycząc; mężczyźni po każdym mocniejszym ciosie śmieli się z rozkoszą.

Tak na tokach wiosennych w głuchej puszczy biją się dwa głuszcze-współzawodniki, a reszta, ostąpiwszy plac walki zdaleka, oczekuje rezultatu, nie pomagając ani broniąc.

Pomimo wątlej postawy, Tychon, złością podniecony, bronił się dzielnie w niedźwiedzim ućisku Kalenika.

Leciały garściami to płowe to czarne włosy, to jeden to drugi przypadali do ziemi i porywali się znowu, u jednego i drugiego krew była na twarzy i odzież potargana.

Nareszcie Hubenia za piersi porwał Czyruka, podniósł w górę, i cisnął z impetem o ziemię.

Straciwszy grunt pod stopami, Tychon runął, krew mu się rzuciła nosem i ustami, pozostał nieruchomy.

Wtedy dopiero ludzie uznali za stosowne wnieść się pomiędzy walczących.

Ktoś zaczął reflektować Kalenika, inny oblał wodą leżącego, kobiety zbliżyły się, ciekawe czy nie zabity.

— Duży, duży! Jak gruszkę rzucił! — powtarzano z zapalem dla zwycięzcy.

Hubenia otarł krew z twarzy, ręce za pas założył i popatrzał na Łucysię.

Teraz był pewnym, że go kocha.

Ale dziewczyna, blada, spoglądała ku niemu ponuro, więc go znowu złość opadła. Nie wierzyła jeszcze w jego pięści siłę.

— Nu, może kto drugi mnie poduża? (pokona) — zawołał.

— Nu, ja! — wyrwał się Maxym Syluk ze śmiechem.

— To chodź po śmierć!

Wysunięto Tychona, który już przyszedł do siebie.

Parobcy splunęli w garście jakby do cepów się brali, i skoczyli sobie do piersi.

Ale w tem drzwi karczmy rozwarły się szeroko i wszedł Kornilo Huc.

Spojrzał na zapaśników surowo i rzekł:

— Wy tu jak zwierzęta się zajadacie, a dwór pełen waszych koni, owiec i świń. Cały ranek polowy spędza, to z koniczyny, to z rzepaku. Zobaczcie ile szkody!

Pięści zapaśników opadły, ludzie rzucili się do drzwi.

Huc jeszcze raz na Kalenika spojrział.

— Dzieci wasze po łąkach czających gniazd szukają, a bydło w dworskim chlewie zamknięte.

— Moja dola! — burknął desperacko parobek, wychodząc.

Zabiegł do chaty, gdzie już Mokrenia i Sak przynieśli wieść straszną.

Sydor za kij od żaren chwycił, klnąc okropnie.

Dzieci schowały się pod piec, bardzo głęboko, gdzie kury mieszkają, i ryczały ze strachu i bólu, bo ojciec, nie mogąc ich „mlonem“ dosięgnąć, szturgął na chybił trafił kociubą żelazną, wygrażając zabiciem.

Ujrzawszy synowca stary kociubę i złość na niego skierował.

— Ty wileze mięso, po karczmach się tłuczysz za dziewczętami latasz! Ja tobie pokażę, ja ciebie nauczę!

Parę razy dostał parobek kociubą przez plecy,

zanim ją z rąk stryja odebrał. Nie bronił się, ani tłómaczył, zbyt był przerażony zajęciem bydła w szkodziu.

— Teraz idź i wykupuj, idź proś! — sapał Sydor. — Ja nie pójdę oczami świecić. Bogdajby ten dwór zgorzał, bogdajby ich licho pobrało! Nu, idź! idź!

Znowu zwrócił się do pieca i w czarną tę norę szturchał.

— Nie wylezicie, szczenięta! Zobaczym. Wpadniecie w moje ręce! Żywcem was ze skóry obedre!

Złośny jęk dowiódł, że trafił w któres. Kalenik znowu mu kociubę z rąk wyrwał.

— Nie ruszcie dzieci. Winien ja, to winien! Zakolecie które będzie sąd. Toż małe, ledwie zipsiel! Dajcie pokój! — przekładał.

Piec deską zasunął, starego odprowadził na stronę.

— Pójdę, wyproszę ten raz jeden. Jutro sam paść będę. Nie złościście się tyle!

Trochę się ogarnął i pobiegł do dworu.

Podniecony rozlicznymi wrażeniami był śmielszy niż zwykle.

Trafił do ekonomy.

Ten go wyfukał, wykrzyczał, ocenił szkodę na pięć rubli, groził sądem, nareszcie wypchnął za drzwi.

Chłop stanął na ganku, z bierną, apatyczną, cierpliwością, i czekał, sam nie wiedział czego.

Chodziło mu po głowie, żeby bydło wykraść nocą, ale się bał — żeby iść do pana, ale nie śmiał.

Więc stał, o słup oparty, spoglądając na podwórze.

Parobcy właśnie poili konie, i widział Huców postrojonych, uwijających się żywo i wesoło około stajen.

Wśród nich stary Kornilo przesuwał się poważnie, to napominając, to ucząc, to chwalać.

Godzinę, dwie stał Kalenik. Zdawało mu się, że z chlewa gdzie spędzono chłopskie bydło, jego woły porykują, skarżąc się i prosząc ratunku.

Zebrało się więcej gospodarzy. Stali razem i zeicha gwarzyli, rozdrażnieni. Kalenik słuchał tylko.

— Naco ten dwór? Żeby pana nie było, nie byłoby szkody.

— Na złość nam zasieli koniczynę pod wsią!

— Gwałtem grabią. Byłe przednimi nogami stanęło na granicy, zabierają.

— Choroba na polowego!

— Bo trza się zebrać nocą i dać mu pamiętne.

— Dopóki my tu będziemy stali?

— Do pana idźmy!

— Boh me! Nie chcę! Niechaj zdycha „stakot“!

Stali jednak pomimo pogroźki. Kalenikowi na płacz się zbierało.

Aż oto sam pan się pokazał. Zbliżył się do stajen i Karpiny Huca zawołał:

— Skocz-no chłopcze, na poddasze spichlerza — rzekł. — Zdaje mi się, że tam sowa ma gniazdo. Zrzuć je. Coraz mniej gołębi widzę.

Karpina pobiegł na spichlerz, a pan chłopów ujrzał i zagadnął:

— Czego wy ludzie?

Zaczęli tedy wszyscy do nóg mu padać, po rękach całować, i lament podnieśli pokorny.

— Miłościwy panie, my wedle szkody. Ino się bydło przez wał przebrało, zabrali. Nijakiej szkody niema. My pańskiego bardziej, niż swego szkodujemy, pastuchów wysiekli. Ulitujcie się! Ten pierwszy raz darujcie!

— Niech tam! — machnął ręką pan. — Dajcie po pięć kopiejek polowemu i zabierajcie bydło.

— Miłościwy panie, to krzywda! Nijakiej szkody niema. Darujcie ten raz! — jęczeli dalej.

Pan się roześmiał — smutno i pogardliwie zarazem.

— Przecie ja darowuję. Te pięć kopiejek należy się stróżowi! — rzekł. — Cóż, więcej mogę wam zrobić?

Spojrzał po nich i do kieszeni sięgnął.

— Cóż, chyba wam dać te pięć kopiejek gościńca za stratowany rzepak i koniczynę. Niech i tak będzie!

Śmiał się.

W drzwiach stajennych stał Kornilo Huc i patrzył ponuro na chłopów.

— No — dodał pan — ty Czech, masz dziesiątkę.

Czech rękę wyciągnął i wziął.

— Ty Syluk! Masz!

Wziął i Syluk.

Huc splunął raz i drugi.

Pan się wciąż śmiał i dawał.

Nareszcie na Kalenika przyszła kolej.

— A i ty tutaj, Hubenia? Czemuż to nie twój stryj przyszedł? Jest jeszcze kilka indyków. No, masz i ty dziesiątkę.

Kalenik oczy podniósł i ujrzał Kornilę i Matwieja, przyglądających mu się dziwnie.

Wtedy mu coś się stało, jakby srom, którego sobie nie potrafił wytłómaczyć, i o krok odstąpił.

— Ja nie chcę! — rzekł, głową trzęsąc.

— Dlaczego? bierz, kiedy tamci wzięli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD MALARSKI.

Chełmoński znalazł naśladowców — co zresztą było do przewidzenia.

Wystawy warszawskie pełne są w tej chwili płócien wzorowanych na jego pejzażach ułamkowych, w rodzaju „Krajobrazu bez słońca“, „Krajobrazu przy słońcu“ i t. p.

Widzimy ztąd, że ze wszystkich, a tak licznych, przymiotów znakomitego artysty naśladowcy wybrali do powtarzania jedyne tylko, a mianowicie: brawurę kompozycyjną i malarską.

Jest to z ich strony błąd wielki i narażający na niechybną zgubę.

Aby z kawałka ugoru, kilku kamieni polnych, kępki wrzosu lub tafelki wody, tworzyć piękne i zajmujące całości artystyczne, trzeba mieć talent niepospolity i niepospolitą również technikę. Trzeba umieć także tchnąć ducha w pierwszą lepszą, bez wyboru wziętą, formę.

Udaje się to Chełmońskiemu, jako *tour de force* malarskie, i tylko naiwni sądzić mogą, że jest to rodzaj łatwej, pracownianej sztuki, którą okłamać można widza i zastąpić mozolną pracę wykonawczą.

Chełmoński maluje kawałek wody, na niej kilka rozplaszczonych liści grzybienia, a w powietrzu dwa owady zwane „szklarzami“ — i tworzy arcydzieło. Pan Dąbrowski maluje również kawałek wody, na niej kępki tataraku, a w powietrzu ptaka jakiegoś — i tworzy.... rzecz nieudolną.

Przyczyna tego bardzo prosta.

U Chełmońskiego woda jest wodą, liście liśćmi, a owady owadami; — p. Dąbrowski zamiast wody pokazuje nam płótno przefarbrowane, zamiast tataraku blachę pomalowaną na zieloną, a zamiast ptaka plamę, przypominającą zarazem wszystko i nic....

A przytem p. Dąbrowski zbyt niedelikatnie przyswaja sobie pomysły Chełmońskiego, co sprawia, że jego obraz nazwać-by można, już nie naśladownictwem, lecz wprost: podrabianiem.

O podobne wykroczenie przeciw prawom własności artystycznej nie posądzimy pana Rapackiego, jakkolwiek i on w pejzażach swych poszedł niewolniczo za Chełmońskim...

Wszystko, co nam dał dotąd młody ten artysta, mogło być, bez szkody dla niego i dla sztuki, światła wystaw publicznych nie oglądać. A nie dlatego jak mówię, abym miał te wszystkie „Wieczory“, „Swity“, „Krajobrazy jesienne“ i t. d. uważać za rzeczy zgoła nieudolne, lecz że są one dopiero pracami przygotowawczymi, których ogół nie bywa nigdy ciekawy.

Gdyby urządzono jakąś wystawę szkolną, wy-

stawę uczniów pilnych i t. p. Pan Rapacki mógłby na niej odważnie rozwiesić te ułamki studyów pejzażowych, te próby odtwarzania natury w różnorodnym oświetleniu, to całe wreszcie rusztowanie kompozycyjne, którem się kiedyś, przy prawdziwym a skończonym dziele sztuki, z korzyścią posłuży.

Mógłby rozwiesić to wszystko odważnie, a nawet — z chlubą.

Na dobro młodego artysty zapisać trzeba dwa, dotąd ujawnione znamiona: obcowanie bezpośrednie z naturą i szczerowość w jej odtwarzaniu.

P. Rapacki nie ubiega się za efektami krzykliwymi, nie wybiera motywów nadzwyczajnych, nie kokietuje widza wyszukanemi barwami. Jest powściągliwy w kolorycie i sumienny w rysunku, i zdaje się zapowiadać, nie szarlatana, lecz artystę poważnego.

Razi jedynie w jego szkicach — a razi tem więcej, że artysta jest młodzieńcem — stale powtarzająca się bezśloneczność. Wszystkie jego pejzaże są szare, popielate niemal, skąpane w jakiejś mgłę jesiennej, zimnej, nieprzyjemnej i pochłaniającej barwy.

Nie sądzę, aby ta właściwość, występująca uporczywie na kilkunastu płótnach, różnemi czasy malowanych, była przypadkową. Należyć ona musi do stałych pierwiastków ducha artysty, który jednak, nie zastygłszy jeszcze w formę ostateczną, może ją z korzyścią dla siebie odmienić i udoskonalić.

Jak rozkosznem jest przejście od tej chłodnej szarzyzny do słonecznego płótna p. Stanisława Wolskiego, p. n. „Szczęśliwe chwile“! Czuje się niemal ciepłe tchnienie, z obrazu tego idące; czuje się dobroczynny wpływ złotych promieni, które budzą i utrzymują życie...

P. Wolski wymalował sielankę, bez cienia właściwej sielankom przesady sentymentalnej. Jest to zdrowe i jędrne, zarówno w kolorycie jak w pomysle, zarówno w krzepkich sosnach i soczystej zieleni łąki, jak w układzie figur i ich twarzach, letnią spieką rozgrzanych.

Artysta ujawnia w ostatnich pracach pomysły nie zrównoważenie ducha, jakiego utworom dawniejszym brakowało. Pomiędzy „Szczęśliwemi chwilami“ a sceną „W pracowni“ (gdzie model zdaje się być o pół wiorsty od malarza oddalony) różnica wielka. Ten ostatni obraz, kilkoma tylko laty wcześniejszy, malowany jest niespokojnie i nieśmiało; na płótnach zaś dzisiejszych znać rękę, zupełnie już pewną siebie i wskutek tego — spokojną.

„Szczęśliwe chwile“ pokazują nam drużynę mieszkańców wsi, stałych lub czasowych tylko, którzy w dzień letni skupili się na łączce pod lasem, korzystając z cienia, rzucanego przez drzewa wysokie.

W towarzystwie tem nastrój panuje jaknajlepszy, pomimo, że każdy zabawia się na własną rękę, i na własny sposób — prócz dwojga młodych, którzy albo już są rozkochani, albo niebawem niemi zostaną, tymczasem zaś patrzą sobie w oczy, zamieniając słowa i westchnienia.

Dziwnie świeże i miłe wrażenie sprawia ta scena potoczna. Wszyscy poruszają się tam swobodnie, jak ludzie żywi, a nie automaty. Pejzaż ma wszystkie znamiona swojskości, a w powietrzu pływają się zdaje zapach żywicy i macierzanki.

Głównym jednak przymiotem obrazu pana W. i jego siłą, magnetycznie na widza działającą, jest doskonale rozproszony i bogate oświetlenie słoneczne.

Sądzę, że słońce w obrazie jest temsamem, co uczucie w poezji. Zimna kompozycja malarska, podobnie jak zimne wiersze, wydaje się czemś niezupełnem, niedokończonym — bezdusznem...

Niepodobna opuścić wystawy Towarzystwa Zachęty, bez przyjrzenia się — bodajby po raz trzynasty — akwarellom Fałata. Spotkałem się niedawno z wypracowaniem jakiegoś krytyka, który usiłuje obniżyć wartość tego akwarellisty. Jest to objaw tak naturalny, że nie zdziwił mnie zupełnie. Wśród tłumu jednoznacznie zachwycającego się dziełem pięknem, musi się zawsze znaleźć — *turbator chori*. Rzekłbym nawet, iż jest

on potrzebny, jak potrzebny jest cień dla uwydatnienia światła.

Zresztą nierównie łatwiej krytykować, niż zachwycać się. Zachwyty jest uroczystym i podniosłym stanem duszy, do którego niekażdy wnieść się potrafi. Niedostatki akwareli Fałata wskazać nietrudno, ale są to niedostatki formy, którą się posługuje, nie zaś talentu. Jedyną może wadą tego dzielnego artysty było nadużywanie tonów atramentowych, lecz wady tej dawno już się on pozbył. Z chłodu kolorystycznego wyleczyła go gruntownie podróż na wschód, do krainy światła, ciepła i barw olśniewających.

Portrety, malowane farbami wodnymi przez Fałata, są ostatnim wyrazem akwareli. Mistrzem trzeba być nielada, aby z chaotycznego naporu zmieszania plam i plamek różnobarwnych, wydobyc twarz ludzką żywą, uduchowioną, pełną wyrazu właściwego i temperamentowej odrębności. A dowody mistrzostwa takiego składa Fałat nieustannie. Wszystkie jego „główki“ — czy to będą typy, studia czy portrety — wypukła się, żyją, zdają się ustami poruszać i mrugać oczyma...

Zarzucono pejzażom tego artysty, że są „szklane“ — to jest, że brak im miąższości. Jakże zwycięsko zarzut ten zbijają choćby tylko widoki Helgolandu, na których osadziste i ciężkie skały posiadają wygląd i trwałość prawdziwego granitu! I jakże niesmacznie, niedorzecznie i po arlekińsku wyglądają przy tych świetnych kartach pstroczyny impresyjnistyczne panów: Podkowińskiego i Pankiewicza...

Dobrze jest gdy artysta nie zamyka się w jednej sferze pomysłów, ale dobrze jest także, gdy, wydoskonaliwszy się w jednym rodzaju, nie przerywa się lekkomyślnie i bez przygotowania do rodzaju wprost odmiennego...

Prawdę tę stwierdził przykładem p. Jasiński, który po wielu dobrych i doskonałych nawet scenach ze świata ludowego, wystąpił z nieudatną pod każdym względem niby-sielanką p. t. „Złoty naszego dziadka“.

Ubrać dwa manekiny w stroje zeszłowieczne i ustawić je na tle dekoracji, przedstawiającej park — nie znaczy to jeszcze odtworzyć wiek XVIII, z jego charakterem, duchem i towarzyską odrębnością.

Wszystko tu sztywne i zimne, począwszy od głównych postaci a skończywszy na drzewach i kwiatach... kartonowych. „Dziadek“ nie wygląda zupełnie na syna swojej epoki, a o „babci“ nawet i mówić nie warto...

Epoka pończoch jedwabnych, aksamitnych fraków i pantofelków ze sprzączkami, wymaga subtelniejszego traktowania, delikatniejszych dotknięć pędzla i większej na ogół wytworności. Przedstawia się nam ona zawsze jakby poza obłokiem pudru — tak właśnie jak na pastelach Fragonard'a...

P. Jasiński rozsądnie postąpi, gdy dalszych wycieczek w tę obcą dla siebie sferę zaniecha. Jest on artystą dojrzałym, o sformułowanym już wyraźnie kierunku, którego stale trzymać się powinien.

Kierunku takiego naprózno dotąd szuka pan Bergman.

Próbował on już średniowieczny i epoki Ludwików, *genre'u* i malarstwa historycznego — wszędzie zaś zdobywał nader umiarkowane tryumfy.

Nawet i sposób malowania zmieniał artysta ten kilkakrotnie. Inaczej kładł farby na szkicach rodzajowych, inaczej na traktowanej po matejkowsku „Śmierci Anny Oświęcimówny“, inaczej wreszcie na wystawionem świeżo płótnie p. n. „W chacie rybackiej“.

Ten ostatni obraz przedstawia starego rybaka z żoną, przy kominie, na którym płonie suty ogień z gałęzi. Dla takiego biednego rybołowcy, któremu wiatry morskie wyziębiły nawet szpik w kościach, rozkosz to nielada grzać się przy trzaskającym wesoło płomieniu. A i towarzystwo żony jest mu droższe, niż innym mężom, bo każda wyprawa w wątlej barce na wiecznie gniewne i wiecznie głodne fale, zagraża małżonkom rozwodem — wiekiuistym.

Więc też błogo musi być w tej chacie, wichrami morskimi przewiewanej, i miłość małżeńska

musi tam być czulsza i ofiarniejsza, niż wśród małżeństw, które tylko po stałym gruncie pewną nogą stąpają.

P. Bergman poprawnie nakreślił postacie rybaka i jego żony i chacie ich nadał wygląd właściwy — zawiódł go jednak srodze koloryt...

Nienaturalna barwa płomienia zalewa obraz jakimś blaskiem sztucznym, lunę zachodzącego słońca przypominającym, a sylwetki rybackiej pary, zamiast twardo się odeń odcinać, rozplywają się owszem wśród tła niewyraźnie. Artystyście, jak się zdaje, chodziło głównie o efekt świetlany nie wystudował ich jednak dostatecznie w naturze, a pamięć, jak to zwykle bywa, zawiodła...

Na wystawie p. Krywulca sensacyjną przynętę, od kilku już tygodni, stanowi obraz p. Romualda Rexa (Wiedeńczyka podobno) p. n. „Sprawa Clémenceau“.

Malowidło to nowoczesne, silnie realistyczne, na brutalnie zatarganie nerwów widza obliczone.

Artysta pokazuje nam ostatnią scenę ostatniego aktu: trupa wiarolomnej żony, na pogniecionej walką przedśmiertną pościeli.

Jest to okropne i ohydne... a piękności malarzkie, wykrint otoczenia i świeżość poraknu przez okno przeliterującego, tem przykrzejszą czynią tę scenę.

Nie tu miejsce rozbić: czy prawdopodobną jest pani Clémenceau i czy usprawiedliwić się da jej małżonek — obraz jednak, pokazujący nam niemal dotykalnie *finale* małżeńskiego dramatu krzyczy rozpacznie, iż popełniono tu gwałt, niesprawiedliwość, zbrodnię!

Uchowaj nas Boże, od scen podobnych w życiu, i nie daj nam także oglądać ich zbyt często na obrazach!

P. Rex, podejmując przedmiot realistyczny, musiał go też realistycznie traktować. Chcąc wstrząsnąć nas prawdziwością przedstawionej sceny, uczynił wszystkie jej akcesorya możliwie najprawdziwszemi. Palisander mebli błyszczy tam połyskiem naturalnym, palmy rozkładają liście wachlarzowate, płomień dogasającej lampy zabarwia krwawo umbrę papierową, przez szyby okna widać ludzko prawdziwą perspektywę ulicy, a pędzel artysty, wykończający wszystko drobniostkowo, nie pominął nawet takich przedmiotów ostatniorzędnych, jak kołdra jedwabna, czarne pończochy na nogach itp.

Co się tyczy samej ofiary, włożonej w poduszki, wydaje się ona mnie i innym profanom źle narysowaną, zakrótką i całkowicie łona pozabawioną. Malarz jednak twierdzi, że to są błędy powierzchowne tylko. Być może — ale w malarstwie sąd widza i krytyka gruntuje się na tem jedynie, co powierzchowne...

U p. Krywulca spotkać się można zawsze z pracami p. Tondosa, jednego z niewielu naszych prawdziwych i nieprzeniewierających się swemu rodzajowi, akwarelistów.

Artysta ten uczynił specjalnością swą widoki architektoniczne wogóle, w szczególności zaś stare mury, poszczerbione, sypiące się i zczerniałe. Wiadomo ile malowniczości, a zarazem ile ducha zatajonego, w takich pół-ruinach spoczywa. A p. Tondos umie przenosić je na papier po mistrzowsku.

Byłem zawsze i jestem dotąd wielkim artysty tego zwolennikiem — tem większą zatem przykrość sprawia mi konieczność stwierdzenia, że z ostatnich prac jego wylizera, niepożądana a dla wszelkiego talentu zabójcza, maniera...

Wskutek długoletniego malowania starych budowli z natury, p. Tondos zdobył wprawę, pozwalającą mu wykończyć akwarelle na podstawie pobieżnego zaledwie szkicu, wykonanego z bezpośredniej obserwacji. Wytworzył się ztąd niezmiernie szablon, który na ostatnich jego pracach kładzie piętno nużącej monotoności.

Już dziś u pana Tondosa stare budynki krakowskie i starsze od nich gmachy „Złotej Pragi“ i najstarsze pałace weneckie, posiadają fizioznomią zgoła jednakową. Modra Wisła, żółta Wełtawa i zielone laguny, jednakową również pod jego pędzlem przybierają barwę. Charakteru danej miejscowości, tego, co Francuzi zowią *couleur locale*, prawie wcale na akwarellach tego artysty niema...

P. Tondos wszedł na niebezpieczną drogę, z której radzę mu szczerze cofnąć się jaknajprędzej.

Horowitz, jedyny dotąd u nas portrecista w wyższym stylu, pozyskał niebezpiecznego współzawodnika. Jest nim p. Pochwalski, krakowianin, znany dotąd ze scen rodzajowych, udanych typów niewieścich i... podróży odbytych w towarzystwie Sienkiewicza nad Bosfor.

Portretem, nadesłanym na wystawę p. Krywulca artysta ten zdobył sobie odrazu pierwsze miejsce pomiędzy portrecistami, a pod niejednym względem przewyższył Horowitza.

Podczas, gdy ten ostatni maluje coraz wykwintniej i słodziej, pokazując nam twarze modeli jakby w odbiciu zamiatowanego zwierciadła, portret p. Pochwalskiego błyszczy świeżą i jędrną karnacją, doskonale odtwarzającą sangwiniczny temperament portretowanego i jego, istic galiczyjską, fantazyą.

Z obojętnego tła, nieupstrzonego żadną dekoracją, wychodzi butny ów mąż, jak żywy. Artysta nie oszczędził mu ani jednej zmarszczki, ani jednego włosa siwego, a nadto dobił na jaw to, co w powszednich warunkach życia niezawsze twarz ludzka wyraża, a mianowicie: odrębność temperamentową i towarzyską.

Świetny to obraz, ujawniający w panu Pochwalskim urodzonego portrecistę.

Podobno świetniejszym jeszcze od niego jest portret Sienkiewicza, który zjednął artysty odznaczenie na międzynarodowej wystawie w Monachium. Ma to być wizerunek, nietylko Sienkiewicza-człowieka, lecz także Sienkiewicza-pisarza. Co prawda, tylko takie uduchowione wizerunki artystów i poetów mają rację bytu w sztuce. Tylko blaskiem natchnienia rozwidnione ich rysy, są rysami prawdziwymi...

Zapewne z odznaczoną pracą pana Pochwalskiego zapozna się niebawem i Warszawa.

Wiktor Gomulicki.

RUCH MUZYCZNY.

„Wyplęliśmy tedy na pełne morze artyzmu“ wołają z radością miłośnicy muzyki, porwani falą dźwięków, które co wieczór płyną to z tej, to z owej koncertowej sali, a niekiedy aż z dwóch naraz przybytków sztuki nęcą syrenim głosem. Tak, zapewne jak na skromne miasto nasze, ruch muzyczny dość znaczny temi czasy, lubo koncentruje się głównie tylko w jednym kierunku. Opera, wskutek *force majeure*, przebywa epokę stagnacji i dopóki przybytek sceny nie zostanie ukończonym, kwestye reformy jej do przyszłości należą. W dziedzinie twórczej również dość mało objawów szerszego działania. Wciągu paru lat wprawdzie zaznaczyliśmy kilka imion młodych kompozytorów, rzucających jasne odbłyśki talentu, jednak żadne większe dzieło nie ukazało się na widowni; wespół mistrzów opromienionych już aureolą, oprócz Żeleńskiego, co zdala od nas pracuje, nie wiemy o żadnej zamierzonej lub w skupieniu ducha dokonywującej się wielkiej pracy. Gdzież zatem onego rozwoju sztuki i pulsu jej życia szukać potrzeba? Oto, z każdym rokiem bujniej krzewi się wirtuozostwo, garnąc ku sobie zastępy młodych i zdolnych adeptów. Estrady koncertowe jedne przed drugimi współubiegają się o dobrych wykonawców, organizują muzyki chóralne, orkiestralne i zbiorowe, stają się jedynym źródłem szlachetnych wrażeń i swoje stopnie, kwiatami usłane, mają zawsze w pogotowiu dla stóp znakomitości zagranicznych. W tym względzie skromna Warszawa nie stoi w niczem poza pierwszymi stolicami Europy i, jeżeli godzi się temu objawowi nadawać miano artystycznego rozkwitu, to bezwarunkowo w całej on pełni u nas istnieje. Prawie zawsze w murach naszych witamy pierwszorzędnych artystów, składając im należne hołdy

i niezawodząc ich wiary w rozgłosną naszą muzyczność.

Jednym z takich miłych gości, którzy, nietylko obdarzają nas chwilami prawdziwych duchowych rozkoszy, ale nadto jedną sobie ogólną sympatią, był potentat fortepianu: pan Stavenhagen. Dał on się słyszeć w trzech koncertach, oraz w gronie uczniów Instytutu Muzycznego, nieprzebranymi skarbami swego talentu, olśniewając zachwycone młodzieńcze audytoryum.

Stavenhagen jest przedstawicielem szkoły nowej, a również i najdoskonalszym jej wyrazem. Jeśli twórca tej szkoły, Liszt, całkiem nieznanie i potężne efekty wyłonił z fortepianu, orkiestralne niemal dobył zeń brzmienia i stworzył dlań całą seryą odpowiednich kompozycji o fantastycznej, trudnościami najeżonej formie, — to Stavenhagen jest wykonawcą programu tej szkoły takim, jakiegośmy dotychczas nie słyszeli. W jego interpretacji utwory Liszta nabierają dziwnej wyrazistości i przepychu, który pociąga nawet tych, co nie są ich zwolennikami. — Przypnieć trzeba jednak, iż, obok wybitnego prądu w kierunku lisztowskim, gra Stavenhagena ogarnia nader trafnie wszelkie inne rodzaje muzyki, jej style i odcienie, umiejac wszędzie odnaleźć ideały prawdy i piękna.

W dziełach klasycznych jest pełną majestatu i spokoju, — rytmiki tak wyraźnej, tak prawidłowej, iż nawet w pierwszym momencie uderza ona słuch nasz swoją miarową akcentacją i zdaje się być wynikiem chłodu. Jest to wszelako złudne; bo na tle tej rytmiki, zwłaszcza w miejscach zbiorowych, wypuklają się szerokie frazy, jakby zdania i okresy, od razu przedstawiając nam jasno całą myśl kompozytora. Jest to jakby oddech brany głęboko, w równych odstępach, by mowa płynęła swobodnie; i wśród różnorodnych fluktuacji tempa, zawsze słyszy się ten oddech brany szybko lub wolniej a charakterystyczny i konieczny w muzyce tak, jak dla płuc równe chłonięcie powietrza. W tak doskonały sposób rozwinięte są i inne techniczne przymioty gry Stavenhagena: niezawodząca czystość uderzenia i pokonywanie wszelkich trudności, czy to naówczas, gdy one one wymagają siły i potęgi, czy naówczas, kiedy stanowią lekką, powiewną, błyskotliwą szatę dla myśli autora.

Duchowa strona gry jest zawsze niezmiernie szlachetną, a przytem czysto indywidualną, jak u każdego niepospolitego artysty; można więc zgadzać się lub nie, ze sposobem pojmowania tej lub owej kompozycji, lecz najwybredniejszy smak nie może postawić zarzutu przesady, szarży lub lekceważenia. Obok spokoju, któryśmy już zaznaczyli, obok powagi, unie artysta zaczerpnął w krynicy poezji: serdeczny liryzm i uczucie, lecz nie denerwujące, rozmarzone, jeno ożywe, da się powiedzieć: na życiowej prawdzie oparte. Nawet rzewny Szopen i niespokojny Szuman, pomimo subtelnie oddanych światłocieni, występują u Stavenhagena w rysach jaśniejszych, bez owej mgły, któraby przetapiała wszystkie barwy kompozycji w jeden ogólny, rozwiewny koloryst fantasmagoryi.

Nie sposób według programów wymieniać pożądaną liczbę dzieł Beethovena, Szopena, Liszta, Szumana i Szuberta, oraz całego szeregu tych kompozycji, które nad program odegrał Stavenhagen, już-to na drugim z kolei wieczorze kameralnym konserwatorium, już-to na koncercie Towarzystwa Muzycznego, na koncercie dla weterynarzy, nakoniec wobec uczniów instytucji, której zadaniem kształcić w zawodzie artystycznym i ku ideałom sztuki prowadzić. Tutaj też występ Stavenhagena miał najdonioślejsze znaczenie i z pewnością pozostawił najżywsze i niezatarte wspomnienia. — W tym samym czasie gdy gra znakomitego fortepianisty rozbrzmiewała po raz pierwszy u nas (wieczór kameralny), w sali ratuszowej odbywał się koncert sympatycznej i utalentowanej śpiewaczki, panny Nikity-Nicholson.

Zachwycaliśmy się już niegdyś jej prześlicznym głosem o tonach słowiczych, tem uczuciem, które, z serca płynąc, jej śpiew dziwnie porównującym czyni. Obecnie powtórzyć nam tylko wypada te same słowa zachwyty, bez długich

omówień, albowiem śpiewu p. Nikity sędzić nie można z chłodną krytyczną ścisłością; jest to młodzianka artystka, która pod względem wykończenia i techniki nie wszystko jeszcze zdobyła, przeczuć jednak można, iż z tak świetnym materiałem głosowym, z intuicyją wrodzoną i prawdziwie artystycznym temperamentem, doścignie wyżyn niepospolitych. Na pierwszym koncercie wykonała: Romans i Cabalettę z opery „Lukrecya Borgia“, Aryę z opery „Samson i Dalila“ Saint-Saënsa, kilka mniejszych utworów Lieblinga, Tauberta, Delibesa. Oklaski i bisowania końca nie miały. Przedstawicielem fortepianu był p. Liebling, który nader szlachetną grą i wyborem do śpiewu towarzyszeniem zjednał sobie szczerze uznanie.

Drugi występ panny Nikity był ozdobą koncertu, który Towarzystwo Muzyczne, jako stary zwyczaj każe, urządziło w wigilię św. Cecylii. Tym razem Arya i Rondo z „Lunatyczki“, romans Leroy i Mazurek Szopena rozbrzmiewały cudnymi dźwiękami, nieporównanej czystości i słodyczy. Z miejscowych sił, ku uczczeniu, wedle tradycji, imienia patronki muzyki, pośpieszyła „Lutnia“, dając swe „Hasło“ i ze skarbca ludowych melodi: Rezygnacją i Kujawiaka. Dział instrumentalny wypełnił znowu pan Lebling, a przypnieć trzeba, iż pięknie interpretował utwory własne, toccatę Dumonta, oraz nader dzielnie i efektownie dobył z powodzi fantastycznych i zdumiewających oryginalnością zwrotów duchową treść Poloneza Paderewskiego.

W operze naszej, której ścieżkę wydeptuje się jeszcze gwoli posłyszania występujących gościnnie jednostek, debiutowała panna Janina Babińska, lwowianka, i zaraz na początek, bardzo zwycięsko wywiązała się z roli Carmeny, owej roli tak słynnej w repertoarze panny Herman. Mimowoli porównanie w takich razach się nasuwa, lecz jeżeli weźmiemy pod uwagę nieobycie się nowej śpiewaczki z akustyką naszej sceny, drobne usterki znikną wobec rzeczywistych zalet, które poznać się dały. Panna Babińska posiada dźwięczny i silny głos, wymowę jasną, frazuje ze zrozumieniem, a przytem jest dobrą aktorką. W „Faworycie“ lepiej jeszcze można było ocenić te przymioty. Nie powiemy, iż to jest artystka wytrawna, która przyswoiła sobie gruntowną wiedzę w dziedzinie sztuki, i która z każdej roli podjętej wytwarza jednolitą, artystycznie pomyslaną całość; panna Babińska dotąd raczej intuicyjnie działa, przeto miewa chwile szczęśliwsze i mniej udatne, gdzie indziej znać cokolwiek szarży, wogóle wszakże wykazuje prawdziwe zdolności, podatny scenę wolumen głosu i poryw serdecznego, po większej części trafego, poczucia.

Obecnie w operze występuje jako primadonna pani Cordier, Francuzka, darząc słuchaczy raczej ujemnymi niż korzystnymi wrażeniami. Oprócz pięknych i pełnych niskich tonów, głos niewiele miłego dźwięku posiada; wyrobiony dostatecznie, nagina się do licznych partyi, nie można też odmówić pewnej finezyi i wykończenia w cieniowaniu, mimo to wszystko, brak tak ważnych warunków scenicznych jak ruchy i mimika, zatracca niemal zupełnie dobre dane samego śpiewu. Widzimy Walentynę w „Hugonotach“ zewnętrznie chłodną i sztywną, najgwałtowniejsze sceny przechodzą z konwenansowym spokojem; uroczą postać Małgorzaty w „Fauście“, której istotą tyle przecież uczuć wstrząsa, przesuwają się przed oczyma widzów jak zaklęta w posąg księżniczka, słowem: akcja tak nie idzie w parze ze śpiewem, iż p. Cordier mogłaby wrażenie wzbudzić, chyba tylko występując w „Don Juanie“ jako — duch Kommandora. Partya Raula w „Hugonotach“ śpiewał przewybornie p. Myszuga, Marcelem był p. Sillich, a lubo jest to partya stanowczo za niska dla głosu tego artysty, niemniej sympatyczny śpiew zjednał mu gorące bravo. Jako Mefistofel w „Fauście“ już był p. Sillich całkiem na swoim gruncie; doskonale też uwydatnił szlachetne brzmienie tonu, akcją zaś, swobodną i pełną werwy, ożywił całe przedstawienie. Pan Myszuga, jak zawsze, był pociągającym Faustem.

Jedno z najbardziej sympatycznych wspomnień ostatnich czasów stanowi mniejszy wieczór Towarzystwa Muzycznego, urządzony staraniem

professora Szlöttera. Był to rodzaj turnieju, w którym o palmę pierwszeństwa walczyły cztery młode adeptki sztuki: panny A. Rajchmanówna, Wł. Wiesiołowska, P. Krzykowska i S. Łosiakiewiczówna. Każdej z nich gra w innym rodzaju, a każda nosi na sobie znamiona wybornie przeprowadzonych studyów w pięknie wyrównanej technice i rozwiniętem pojęciu artystycznym. Indywidualnych dodatkich stron najwięcej posiada panna Łosakiewiczówna; dużo ognia, siły, uczucia, słowem: technienia talentu, który jasnym blaskiem opromieniować zdoła każdą z wykonywanych kompozycji. Mieliśmy przyjemność usłyszeć: Romans Schütta, Soirée de Vienne, Szuberta-Liszta, i etiudę Szlöttera. Panna Rajchman wykonała koncert fortepianowy Gernsheima, nieznaną u nas, świetnie wywiązując się z trudności technicznych. Samo dzieło nie zadziwia oryginalnymi pomysłami, ale napisane jest w prawidłowych konturach, starannie i rozumnie, dobre też wrażenie wywiera. Panna Krzykowska miała sposobność wykazać męzką energią i inteligentne lubo nieco chłodne traktowanie dzieł w interpretacji: Romansu Raffa, Etiudy Moszkowskiego i Etiudy Szopena. Panna Wiesiołowska uwydatniła giętkość ręki, piękny ton, lekkie powiewne uderzenie w Tantazyi na temata polskie, Szopena i Serenadzie hiszpańskiej Kette-na. Publiczność nie szczędziła oklasków sympatycznym wykonawczyniom, „ale rzeczywistym *heros du jour* był professor Szlötzer, pod którego świetnym kierunkiem kształciły się te przynoszące nam chlubę wirtuozki. W wieczorze przyjęły udział chóry Towarzystwa, wykonywając trzy pieśni Noskowskiego, oraz pani Paprocka, jako deklamatorka.

Instytut Muzyczny zakończył pierwszą seryą swych wieczorów kameralnej muzyki programem złożonym z kwartetu smyczkowego p. Aloiza, Tria Czajkowskiego, oraz Kwintetu Beethovena op. 39 C dur. W dziele p. Aloiza widnieje owa faza kompozytorska, w której jest się jeszcze pod wpływem ulubionych mistrzów, ich ideałami się przejmuje. Nie można powiedzieć, że w motywach znać jakikolwiek plagiat wyraźny, ale ogólny duchowy zarys nie wyodrębnia się prądami nowych myśli, nie nosi tej cechy rdzennie indywidualnej, która jedną twórczą osobistość od drugiej odgranicza. Technicznymi trudnościami jeży się kwartet p. Aloiza, przeto zapewne niewielu znajdzie wykonawców. Trio Czajkowskiego było tryumfem fortepianowym pana Szlöttera, który jako wykonawca porywa zawsze swoją werwą, życiem i temperamentem nawskroś artystycznym.

Pan Münchheimer, który nigdy nie odmawia swojego udziału, gdy chodzi o obywatelską przysługę, i w tym sezonie objął dyrekcją koncertu na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu, a zarówno piękny cel jak i program interesujący były hasłem do tłumnego zebrania. Najpierw zabrzmiała uvertura drygenta: „Dźwięki tajemnicze“, tytuł usprawiedliwiający kompozycją, której wstęp jakoby rozplywa się we frazach omglonych mistycyzmem; później spotykamy więcej ożywienia i kombinacji instrumentalnych bardzo zręcznych. Śpiew solowy podjęła panna Kwiecińska, wysoko posuniętą kolaturę uwydatniając w ary z „Cyrułika Sewilskiego“ z towarzyszeniem orkiestry. Dalej p. Szlötzer, p. Aloiz, dzielna „Lutnia“ składali się na numery programu coraz wyższy entuzjazm budzące; do szczytu zaś doszedł zapał audytoryum, gdy przemówiła pani Romana Popiel-Swięcka, już z ukazaniem się na estradę popitana istnym deszczem kwiatów! Po cudnej deklamacji złożyli jeszcze daninę swego talentu: pani d'Orio i p. Komierowski; ostatni zaś numer należał do orkiestry, którą wykonała „Danse orientale“ p. Aloiza pod dyrekcją kompozytora.

Le mot de la fin dzisiejszej pogawędki i trochę nie wesoło usposobi naszych czytelników, musimy bowiem wspomnieć o pożegnalnym koncercie panny Józefy Szlezgyierówny, który odbył się d. 2-go Grudnia w sali Resursy Obywatelskiej. Gdy sympatyczna śpiewaczka wstąpiła na estradę, każdemu z pewnością przesunął się w myśli po-
każny zasób ról, które z wdziękiem, staraniem

i intelligencją od lat kilku na scenie naszej podejmowała. Nie chcemy tutaj wznosić hymnów pochwalnych, lecz trudno zamilczeć tę prawdę, iż niełatwo da się zastąpić taką artystką, z którą, dzięki jej charakterowi i sumiennej pracy, publiczność nasza się żyła i tak sympatyzowała. Liczne grono kolegów i amatorów biorące udział w koncercie, ofiarowane wieńce, oklaski pełne zapachu, dowodem były tej sympatii. Koncertantka wykonała: arya z op. „Wesele Figara“, arya z „Fletu zaczarowanego“, pieśni: „Ja kocham cię“ Aloiza, „Wieczór i poranek“ Münchheimera, walc Niedzielskiego, Duety Szuberta i Moniuszki wspólnie z panią Szlezygier-Kamińską. Pan Myszuga piosnek dał kilka, czyniąc z nich istne klejnoty artystyczne. „Lutnia“ odśpiewała kwartety: Beethovena, Kulhana, Hermesa i Wilhelmięgo; panna Rajchman przepłotła śpiew piękną grą swoją, a pan Aloiz nie tylko podziwiać kazał cudne tony swej wiolonczelli, ale i wyborny akkompagniamient, którym się przysłużył śpiewakom. Panna Trapszówna deklamacyjną i pan Frenkiel pyszną humorystyczną pogadanką, dopełnili programu koncertu, którego pobudka była sama w sobie tak smutną.

Juljusz Stattler.

Z bieżącej chwili.

— Dwa międzynarodowe kongresy: przedhistorycznej antropologii i archeologii, oraz zoologicznej, mają się odbyć w Moskwie 1892 roku. Komitet zawiązany w tym celu rozpoczął już przedwstępne posiedzenia, a jeden z jego członków, Keller, ofiarował na koszt urzędnika 5.000 rubli.

— W roku przyszłym zostanie otwartą w pobliżu Petersburga pierwsza szkoła mleczarstwa.

— Tygodnik *Illustrowany* poświęcił całkowicie ostatni swój numer historii teatru w Warszawie. Na pierwszej jego karcie widnieje pięknie wykonany fototyp, przedstawiający popiersie Wojciecha Bogusławskiego, którego nazwisko łączy się ściśle z początkiem stałej sceny naszej. Był on założycielem. Na placu Krajskich został wzniesiony w 1779 roku gmach, który służył na ten cel do 1833 r. a którego mury, zwane aż do naszych czasów w mowie potocznej *Starym Teatrem* stoją aż dotąd. Teatr nowy na placu przed Ratuszem otwarty w 1833 roku pomieścił w gmachu jednym dwie sceny: *Teatru Wielkiego* i *Teatru Rozmaitości*. Teatr Wielki ulega teraz przebudowaniu; widok jego sceny, zdjętej fotograficznie przy ostatnim na niej widowisku, został pomieszczony w *Tygodniku*, gdzie oko spotyka następnie cały szereg artystów, grywających na scenie tak *Teatru Wielkiego* jak i *Rozmaitości*, nie wyłączając opery i części baletu. Textem są tu dzieje teatru naszego, skreślone w szeregu artykułów p. p. Bogusławskiego, Keniga, Lubowskiego, Gersona, Korotyńskiego, Rapackiego, Gawalewicza. Przypadająca właśnie rocznica 111 lat istnienia stałej sceny naszej została w ten sposób uczczoną i pamięci ludzkiej przypominaną.

— Od Nowego Roku ma być otwartych w mieście naszym trzynaście nowych szkół początkowych, a to 9 dla chłopców, 4 dla dziewcząt. Dwie z nich, dla chłopców, na przedmieściach:

Szumulowiznie i Nowej Pradze, reszta na ulicach miasta dalszych, zamieszkałych przez ludność uboższą. Przyrost ludności oraz przyłączenie do miasta obzernych przedmieść wymagały tego. Etaty dla nowych szkółek są: dla chłopców, 1.140 rs. rocznie, dla dziewcząt 1.050 rs.

— Wyszła z druku część pierwsza dzieła: *Nauka wychowania*, przez J. K. Hendingery. Część ta zawiera *Wychowanie fizyczne*, traktowane popularnie, z myślą o wychowaniu w rodzinie, ze zwrotem do matek, co właśnie stanowi o prawdziwej użyteczności książki i odpowiada rzeczywistej potrzebie w rodzinach. Rzecz jest pisana poważnie, choć przystępnie, językiem czystym i pięknym, można powiedzieć: politeracku, wydana kosztem autora, który zapowiada w przedmowie ciąg dalszy dwóch takich tomików, traktujących o „wychowaniu moralnem“ i „umysłowem“. Wydanie kosztem autora, skład główny w księgarni Orgelbranda. Z tego, co zapowiada część pierwsza, życzyć sobie należy, aby dziełko rozeszło się.

— W Towarzystwie Sztuk Pięknych otwarta została wystawa galerii obrazów p. Temlera, z której dochód przeznaczony został przez właściciela na powiększenie funduszu potrzebnego, aby Towarzystwo posiadało gmach własny, odpowiednio urządzone. Wystawa składa się z 70 obrazów i dzieli się na dwie części: mistrzów dawnych zagranicznych i naszych współczesnych. Jest tu Matejko, Siemiradzki, Brandt, Chełmoński, Kossak i inni; Matejki „Chmielnicki“, Siemiradzkiego: „Sielanka na Capri“, Chełmońskiego „Polowanie na głuszcę“ i Brandta rzecz śliczna „Puk, puk w okieneczko!“ obok Kossaka ilustracji do tejsamej starej piosenki. Bacciarelli i Lampi stanowią przejście do mistrzów dawnych, między którymi są Rembrandt, Salvator Rosa, Rafael Mengs.

— Siemiradzki maluje obecnie „Apoteozę Kopernika“ Jest to obraz ogromnych rozmiarów, zamówiony do Warszawy.

— Sienkiewicz, bawiący obecnie w Wiedniu jedzie do Włoch, do Rzymu, gdzie Siemiradzki oczekuje go gościnnie w willi swojej przy *Via Gaeta*, gdzie zamieszka. Wkrótce przecież puści się w dalszą drogę, przez Neapol do Afryki.

— Pod tytułem: „Studenci Polacy na uniwer-

sytecie bolońskim“ wydał Matias Berson broszurę, zawierającą szczegóły pełne interessu o studyujących i wykładających na tymże uniwersytecie Polakach w XVI i XVII wieku. Autor, zwiedzając w Bolonii starożytny gmach *Archigimnasio Antico*, znalazł tam na ścianach sal nazwiska i herby 22 ziomków naszych, a lękając się, aby z biegiem czasu przy możliwych przeróbkach stare te pamiątki nie uległy zniszczeniu, znany ten badacz starożytności postarał się o dokładne skopiowanie herbów i napisów sposobem akwarelowym i kopiają tę złożył w gabinecie archeologicznym uniwersytetu krakowskiego. Przytem napisał wspomnianą broszurę, wydaną ozdobnie i bardzo starannie, gdzie pomieścił obok drzeworytów przedstawiających wspomniane herby, wiadomości o ludziach, do których należały, a które czerpał z aktów uniwersyteckich Bolonii.

— Poeta czeski August Mužík zamieścił w wydawnictwie, wychodzącym w Pradze *Kviety*, przekład sonetów krymskich Mickiewicza. Jest to już drugi czeski przekład sonetów tego poety. Pierwszy dokonany przez Kolarza, drukowany był w Pradze 1863 roku, w wydawnictwie *Lumir*.

— Modrzejowska wystąpiła w Krakowie w „Maryi Stuart“ Schillera. Następnie grać będzie w „Adryannie“, w „Walcach kobiet“ i w „Czwartej papieru“. Przepędzi ona w tym mieście święta, następnie uda się do Pragi również na występy gościnne.

— Karol Estreicher w najnowszej swej pracy „Scena polska wobec sejmu“ żąda podwyższenia dla teatru krakowskiego subwencji krajowej do 10.000 złr. Uznał on obok tego za rzecz konieczną, aby teatr krakowski oraz lwowski zostały wzięte na fundusz publiczny. Uzasadnia on też potrzebę funduszu na zakup od autorów sztuk oryginalnych, czy tłumaczeń, na rozpisywanie nagród, oraz na stypendya i pensje nauczycieli deklamacyi i muzyki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenson, przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt XVII-ty wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Odżywianie, ognipiór, ogórki, oko, okulary, ośnienie, otów, omdlenie, oparzenie, opatrunek, opatrunkowe przyrządy, orszada, oskrzela, osłabienie, ospa, ospa wietrzna i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla placących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Gwiazdka przez M. Ilnicką. — Jak można być szczęśliwym nawet w małżeństwie, przez M. Ilnicką. (dok.) — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Przegląd malarski, przez Wiktora Gomulickiego. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevenson, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 29 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Drobne oszczędności.

Zaniedbujemy często oszczędność paru groszy, która często powtarzana stanowi pewną kwotę w końcu roku. To niesłusznie, co mówią ogólnie, że nie warto myśleć o drobnej oszczędności.

Gospodyni domu powinna czuwać nad temi małemi oszczędnościami, uczyć tych, co ją otaczają, a sama naturalnie dawać przykład.

Rozpakowując naprzykład każdą paczkę, trzeba starannie rozwiązać sznurek i włożyć go w jakieś pudełko, koszyczek lub szufladkę, papier należy rozłożyć gładko i schować do stoliczka, aby w danej chwili łatwo go znaleźć. Przy stole jadalnym nie powinno się znosić kawałków chleba, każdy włożyć powinien pozostały kawałek na koszyczek, aby go później zjeść lub oddać biednym.

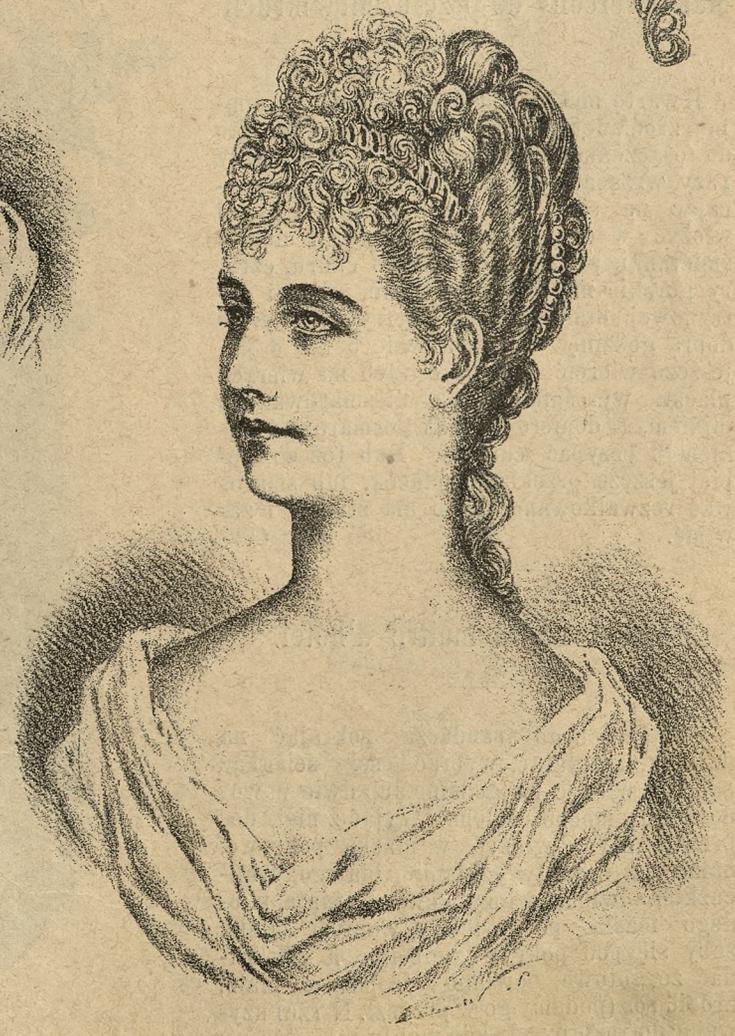
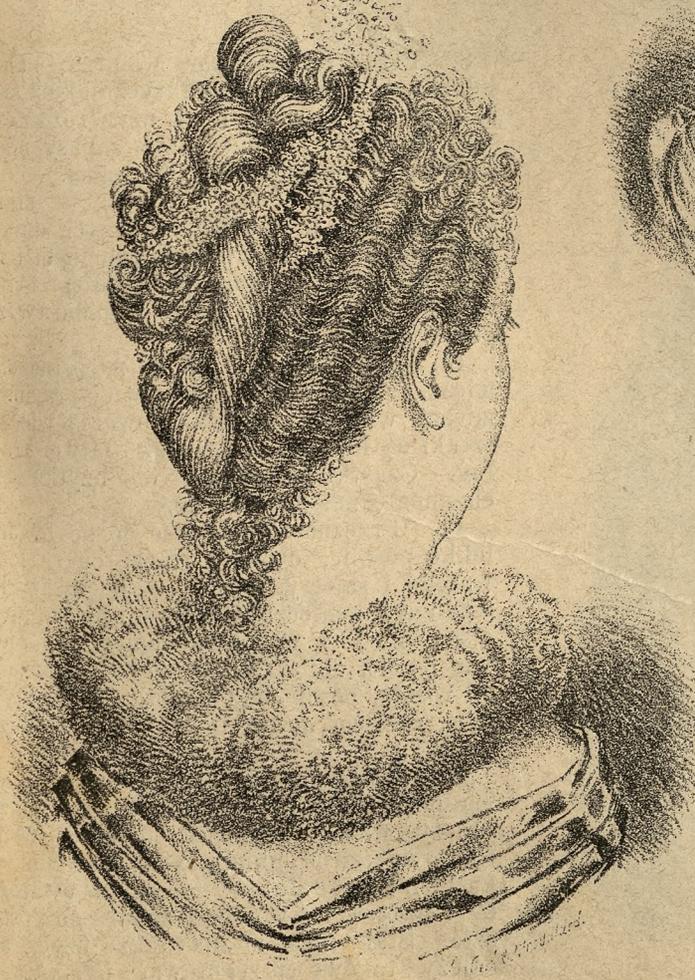
W kwestyi bielizny stołowej trzeba starannie czuwać, aby ją zachować długo w czystości. Jeżeli kto nie może urządzać prania w domu, to powinien choć drobiazgi małe kazać prać w domu, jak kołnierzyki, chusteczki cienkie, kolorowe pończochy itp. rzeczy.

Każda sztuka mająca być prana, powinna być rozłożona dla przekonania się, czy jest cała, a tę co do cerowania lub reperacyi przeznaczona, odłożyć w koszyk na ten cel przeznaczony.

bu zajęcia. Resztki świec stearynowych powinny być zbierane w pudełko i spalone na alabastrowych kawałkach ze sztyftami, wieczorem, chodząc po pokoju lub przy łóżku. Pewne źródło oszczędności jest nie robić długów i niewydatkować więcej ile się posiada, nie dać się opanować sprawunkom niepotrzebnym, po których żal wydatków przychodzi.

Aby dojść do oszczędności sposobem inteligentnym i korzystnym, potrzeba pewnej metody, porządku i czystości.

Ileż to kobiet, których położenie jest bardzo skromne umiejają wyzyskać swe środki, podwajając ich wartość. Wszystko w ich wewnętrznym otoczeniu jest w pewnym takcie i staraniu, nic nie stracone, lecz z korzyścią użyte. Ileż



Powinno się zmieniać bieliznę stołową w dnie oznaczone i przestrzegać służbę, aby się małą ilością ściereczek, fartuszków i ręczników posługiwała według potrzeby domu.

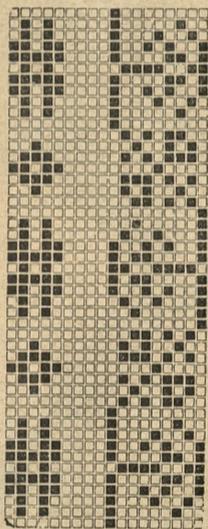
Wszystkie zapasy do szycia służące, jak: guziki, sznurki, szpulki od nici, jedwabiu itp. powinny być razem złożone i rozdane bonie lub szwaczkom według sposo-

innych przy bogactwie wydają więcej jak posiadają i są w ciągłej potrzebie pieniędzy. Do tych ostatnich szczególnie się odnoszą nasze dobre rady. Kobieta może wszystko w swoim domu, od niej zależy dobrobyt lub ruina rodziny.
L. C.

Ciepłe pożywienie dla kur podczas zimy.

Wielce pożytecznym jest dla kur, podczas zimy ciepłe pożywienie. Doświadczeni hodowcy drobiu utrzymują, że obok koniecznych starań o dach i wygodę zwierząt, ciepła strawa niesłychanie wpływa na obfitą produkcję jaj. Otóż każde pożywienie, czy proste czy mięsne, czy podane w ziarnie czy też tłuczone, powinno należycie być ogrzane. Doskonalem pożywieniem dla kur jest kukurydza, którą należy w bardzo gorącym piecu rozgrzać i po ochłodzeniu podać kurom. Najlepsze i tanie pożywienie stanowi ciepła mieszanina ugotowanych rozrartych kartofli z pszenicami otrębami i małym dodatkiem sproszkowanego lnianego siemienia lub wytłocznym z maku.

N. B.



Nr 3 i 4. Haft do fartuszka Nr 1 i 2.
(Ścieg krzyżowy).

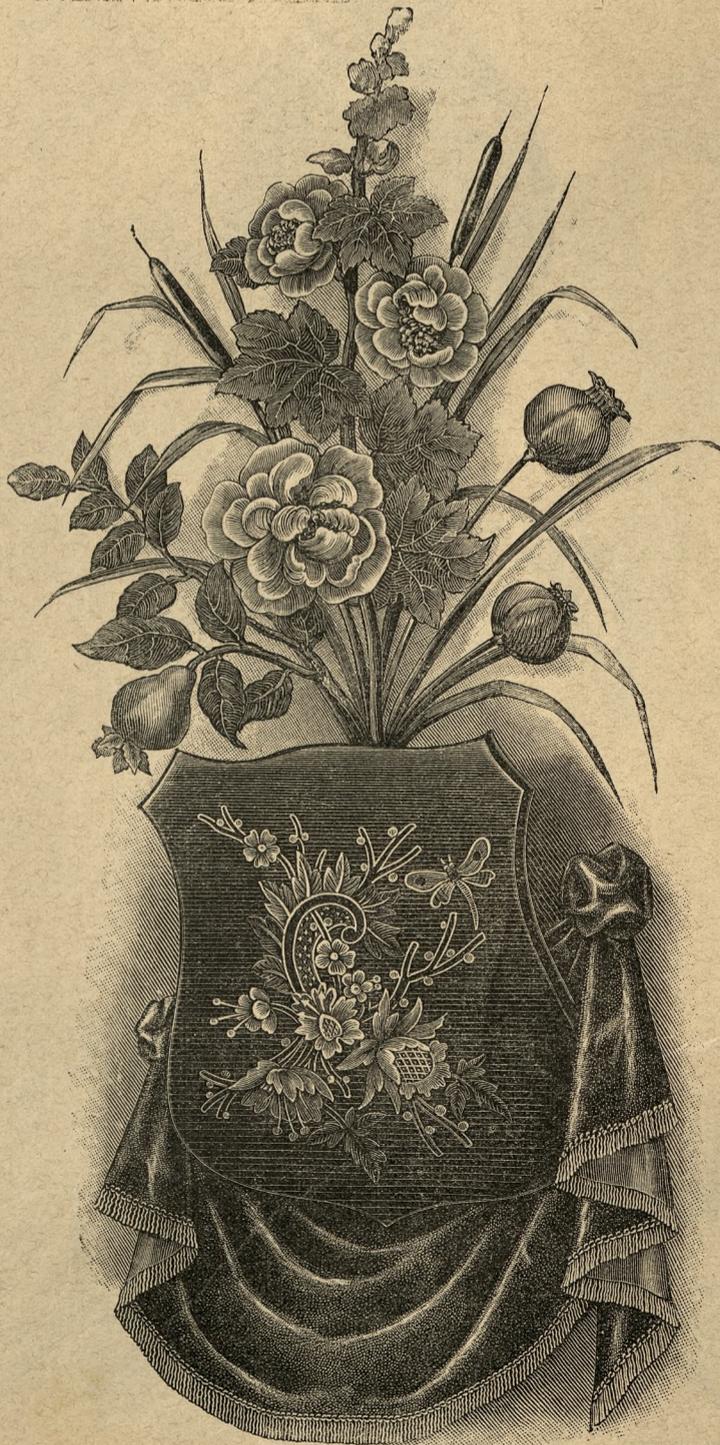
z duszonej ryby a następnie śmietankę i pietruszkę, połać rybę ułożoną na okrągłym półmisku sosem i podać na stół. Ryba, która się podaje bez łba i ogona, obrana ze skóry, nie układa się na podłużnym półmisku jak cała, ale na okrągłym.
L. C.

Główne zasady przy zabijaniu trzody chlewnej i urządzeniu wędliny.

1. Należy wybrać przede wszystkim dzień chłodny, bo wówczas tłustość i mięso łatwiej



Nr 1 i 2. Fartuszek dla panienki od 2—4 lat (do ryc. Nr 3 i 4). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr. XIII, fig. 60—62.



Nr 6. Przybranie ściany.

teżają, lepiej dają się wyrabiać, co utrzymuje kielbasę dłuższy czas w świeżości.

2. Świnie lub wieprza zabezpieczyć od trychnin. Sposób zabezpieczenia nie przedstawia wielkich kosztów i trudności a ochrania od znacznych strat.

3. Nie dać zwierzęciu przed zabiciem, przez 24 godzin żadnego innego pokarmu oprócz wody, co wpływa na czystość kiszek.

4. Nie przeznaczac do zabijania starych świń, lub starych wieprzów. Mięso młodych powiększa swoją objętość w kotle, starych zaś kurczy się i pomimo starannego uprawienia, będzie łykowatym i twardym.

5. W dniu przeznaczonym na rzeź, mieć wszystkie narzędzia potrzebne w tym celu przygotowane i zachować jak największą czystość i porządek.

6. Przed przystąpieniem do uprawy kielbas należy na 24 godzin przedtem zabite zwierzę oprawić i kiszki doskonale oczyścić.

7. Unikać o wiele możliwości kosztowania surowego mięsa, co może być powodem przykrych choroby „solitera.”



Nr 5. Suknia z sukna i materiału wełnianego „foulé” (do ryc. Nr 17). Kr. pier. str. tabl. Nr I, fig. 1—12.

Mak wiercony do przełożenia strucli.

Kwartę maku namoczyć na noc w zimnej źródlanej wodzie, potem wylać na sito do osączenia, dalej sparzyć na misce trzy razy wrzącą wodą, za każdą razą wyrzucając na sito aby woda osiakiła. Dalej włożyć w donicę, wlać dwie łyżki ciepłej śmietanki, pół funta miążkiego cukru, cztery gorzkie migdały utłuczone, skórki cytrynowej otartej z pół cytryny, wierceć dobrą godzinę, w końcu wbić 5 lub 6 jaj, jeszcze wierceć i położyć albo na wierzchu placek wyrosniętego ale niesmarowanego jajkiem, a dopiero na mak posmarować jajkiem i posypać cukrem. Lub też co lepiej jeszcze przekładać placek, lub smarować rozwałkowane ciasto na struclę i zawijać.
L. C.

Sandacz „à la maitre d'hôtel.”

Oczyszczonego sandacza pokrajać na dzwona, rozplatać, wybrać ości, ściągnąć skórę i włożyć na godzinę lub dwie w wodę zimną mocno osoloną. Wyjąć z niej, dobrze osączyć, włożyć w płaską pokrywę, nalać na 3 funty szklanę białego francuskiego wina, włożyć ćwierć funta młodego masła, postawić na wolnym ogniu, żeby się pod pokrywą udusiło, a gdy widać że gotowe, powinno być bardzo białe, zrobić sos (podamy go w przyszł. N-rze) używając do rozprowadzenia maki najprzód sosu

8. Przed rozrabianiem wieprza, należy się zastanowić jak najpraktyczniej na swoją potrzebę urządzić i jak użyć różne części, aby mieć pojęcie jakie zapasy mięsa i tłustości otrzymać będzie można.

9. Pozostawić części mięsa w stanie świeżym dla użycia w pierwszych dniach. Pozostawić go w miejscu chłodnym i nie wilgotnym. Głowizna i salcesony utrzymać się mogą przez kilka tygodni w zupełnej świeżości.

10. Marynować dopiero po ostudzeniu mięsa, bo wówczas sól łatwiej przyjmuje mięsne włókna. Do marynowania większe sztuki są lepsze, bo nie tak łatwo tracą ług. Częstki pożyteczne do użytku kuchennego, należy odrębać.

11. Przeznaczone mięso do peklowania lekko posolić, dodając trochę cukru lodowatego i saletry; ułożyć w beczkę lub wianekę koniecznie dębową i mocno przycisnąć dnem a na to kamieniem. Po upływie dwóch dni wyjąć mięso z utworzonego rosołu, posolić raz jeszcze i zalać świeżym rosołem przygotowanym i ostudzonym.

12. Rosół przygotować w następujący sposób: Na mniej więcej 100 funt. mięsa należy wziąć 3 garncie miękkiej wody. Skoro zawrze na ogniu, wsypać 7—8 fun. soli kuchennej, 12 łutów cukru lodowatego, 6—7 łutów saletry, dobrze zamieszać i ostudzić. Stary rosół można także użyć, ale należy takowy przegotować i starannie wyszumować.

nego brzegu do spódnicy z podszewki. Stanik skrajając po dopełnieniu złożenia fig. 10 i 12, z podszewki fig. 2, 10 i 11; z sukna fig. 4-8; z „foulé“ fig. 12 po dwie części; z jedwabnego piaskowego repsu fig. 3 jedną część złożoną wzdłuż środka. W fig. 2 i 4 wykonać fałdy; w fig. 4 — 6 wzdłuż podwójnej linii nacięcia. Zeszyć plecy i boczki podług cyfr. Ozdobić podług ryc. haftem maszynowym wykonanym jedwabiem piaskowym. Zaoopatrzyć podszewką. Napierśnik przemarszczyć 5 razy w górnej części na podkładzie ze sznurka, dolny brzeg umocować każdy † na kropce, przyszyć do prawej przedniej części z podszewki od 3 do 4 wzdłuż linii (na lewej wszędzie zapięcie). Przednią część z podszewki zaoopatrzyć w hafteczki do zapinania. Przyfastrygować fig. 4 z materiału do fig. 2 z podszewki, połączyć takowe od 5 do 7 oraz od 16 do 17 z boczkami i plecami. Przedni i dolny brzeg stanika otoczyć sznurkiem jedwabnym podług ryc. Kołnierz skrajany podług fig. 9 z uwzględnieniem konturu lewej połowy obszyć w górnym brzegu przednim fałdowanym repssem, a w tylnym haftowanym sukmem. W rękawach podszewki wykonać szew od 20 do 22 przyfastrygować do materiału od 22 do 21 i od 23 do 24, wykonać, umocować obydwie † na kropce, zmarszczyć górny brzeg podszewki od * do * materiału od dwukropka do dwukropka, rozporek zaoopatrzyć w guziczki i pentelki ze sznureczką; wszyć w stanik. Pasmanteria z jedwabnego sznurka koloru brązowego z grełotkami wykończy całość podług ryc.

Przybranie ścianny.

Rycina Nr 6.

Tarcza z drzewa pokryta materiałem jedwabnym koloru oliwkowego na podkładzie z waty. Haft wykonany rozmaitego koloru rozpolowioną filozelą japońską złotą nitką, sznelą i bajorkiem. Draperya pluszowa zakończona frendzlą i bukiet ze sztucznych kwiatów.

Worek na bieliznę (robotą wiązaną).

Rycina Nr 7.

Worek z satynki koloru ponsowego, pokryty robotą wykonaną sposobem wiązanym ze sznureczką koloru niewarowego.



Nr 23. Pantofel ranny. (Ścieg płaski). Krój odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 77 (do ryc. Nr 27 i 28).

Szkatułka na fotografie.

Rycina Nr 9 i 10.

Szkatułka na fotografie rozmaitej wielkości. Monogram wykonany na atlasie złotymi niciami i jedwabiami.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 11.

Kapelusz w rodzaju kapotki z ciemno - zielonego aksamitu, przybrany czarną koronką, pasmanterią z czarnych perełek oraz 3-ma strusiami piórami. Szarfę do wiązania z wstążki aksamitnej 3 c. szer.

Kapelusz z aksamitu.

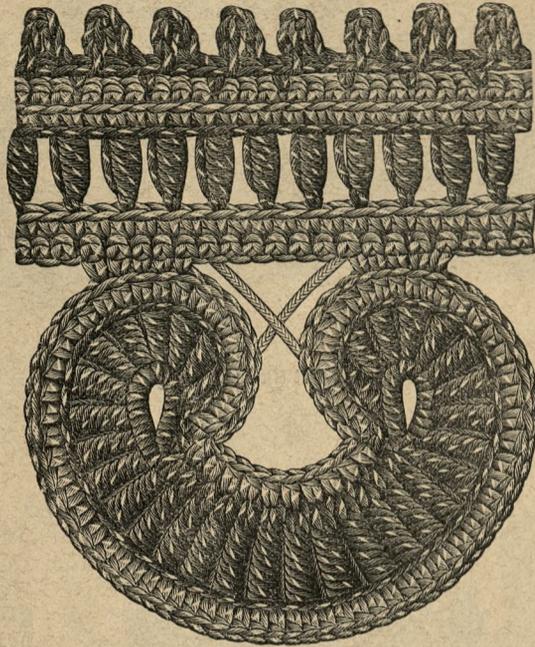
Rycina Nr 12.

Kapelusz w rodzaju toczka, pokryty podług ryc. aksamitem koloru „aubergine.“ Wstążka atlasowa tegoż koloru 5 c. szer. Brzeg przybrany haftem z perełek na koronce ze stalowych nici.

Mantylka z krymskich baranków i aksamitu

Rycina Nr 13 i 20 (Kr. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13-16)

Po dopełnieniu złożonych fig. 13 i 15 skrajając z aksamitu fig. 13, 14 i 16; z baranka fig. 15 po dwie części. Zaoopatrzyć podszewką z czarnego atlasu fig. 13-15 a przednie części i plecy lekko podwatować. Zeszyć podług cyfr, umocować w fig. 14 † na kropce, obszyć szlakiem z baranka 2 c. szer. przednie brzegi oraz plecy wzdłuż dolnego brzegu. Wyłożyć przednie części w dolnym brzegu i umocować jedne na drugiej * oznaczone



Nr 22. Figura łukowa (do ryc. Nr 25) 2/3 oryginalnej wielkości

jednakowemi liter. co utworzy rodzaj mufki. Rękawy zmarszczyć od dwukropka do dwukropka, połączyć od 31 do 32 z przednimi częściami i plecami, w których w miejscach oznaczonych * przyszyć pentlice ze wstążki 15 c. szer. Kołnierz zeszyć od 27 do 33, obszyć barankiem i wszyć w mantylkę od 27 do 34. Przyszyć wstążki do wiązania pod spodem dla uwydatnienia wcięcia oraz w przednich częściach z boku repsową wstążką 7 cent. szer. do wiązania na kokardę wyżej mufki.

Peleryna do teatru.

Rycina Nr 14 i 21. (Kr. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27-29).

Peleryna z pluszu ponsowego, podszyta tegoż koloru atlasem. Przydłużwszy fig. w kierunku



Nr 25. Kosz na papiery przybrany robotą szydełkową (do ryc. Nr 22).

strzałki skrajając fig. 27 — 29 po dwie części. Zeszyć podług cyfr, umocować † na odpowiednich kropkach i wykonać fałdy na ramionach. Kołnierz skrajając podług fig. 53 tejże tablicy i ozdobić falbaną pluszową podszytą atlasem. Przez zewnętrzne zgięcia przewlec wstążkę tkaną ze złota 3 c. szer. do wiązania na kokardę podług ryc.

Kapelusz z filcu.

Rycina Nr 15.

Kapelusz okrągły z czarnego filcu otoczony wstążeczką jedwabną repsową 1 c. szer. przybrany wstążką czarną aksamitną 6 c. szer. i piórami strusiami. Wstążki do wiązania aksamitne 3 c. szer.

Suknia wieczorowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 18.

Suknia z muszliny wełnianej koloru niebieskiego i z takiegoż muszliny w deseń czarny. Stanik i dół spódnicy ozdobiony czarną aksamitką i kołnierz aksamitny tegoż koloru.

Płaszcz z materiału wełnianego obłożony futrem.

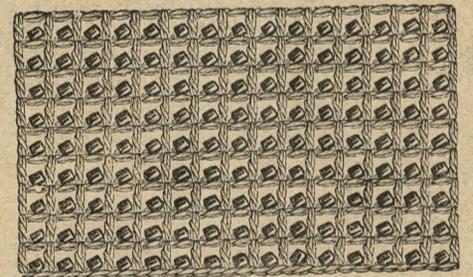
Rycina Nr 19.

Płaszcz z repsu wełnianego koloru ciemno-pielatego podszyty biebitkami lub zaoopatrzone wata i podszewką atlasową. Przednia górna część oraz plecy ozdobione haftem ze złotej pasmanterii z grełotkami. Obszycie z lisów niebieskich.

Pantofelki (ścieg płaski).

Rycina Nr i 28. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 77)

Pantofelki wykonane na tkaninie kanwowej niedzielonej, rozmaitego koloru filozelą. Przemieszanie kontury fig. 77 i wykonać haft podług ryc.



Nr 24. Deseń odpowiadający na pokrycie główek do kapeluszy (robotą szydełkową).

27 i 28. Kwiatki i pączki ryc. 28 kolorem niebiesko-popietawym i oliwkowym, listki zaś i gałązki brązowym i zielonym jedwabiem w kilku cieniach. Gałązkę ryc. Nr 27 jedwabiem koloru jasno-brązowym i oliwkowym. Tło wykonać jedwabiem koloru oliwkowego przejmując 5 mitek tkaniny na wysokość.

Deseń na pokrycie główek do kapeluszy Robotą szydełkową.

Rycina Nr 24.

Kordonek jedwabny koloru słomianego przewlekany czarnymi szlifowanymi perełkami. Nawlec na nitkę kordonkową pewną ilość perełek i na odpowiedniej do potrzeby ilości założonych oczek wykonać jak następuje: — 1 kolej: 7 ocz. opuścić, * 1 perełkę mocno przyczepiając do poprzed. o., wykonać 1 słup. w następ. ocz., 1 pow. o., 1 o. opuścić, od * powtórzyć. — 2 kolej: 1 sł. w następ., 1 pow. o. * 1 pereł. w poprzed. o. 1 sł. w następ. sł., 1 pow. ocz. od * powtórzyć. ciągle poprzednią kolej.

Szkatułka na karty.

Rycina Nr 26.

Pudełko z tektury na odpowiedniej wielkości do kart, częścią oklejone atlasem koloru brązowego, częścią skórą tegoż koloru wyciskaną złotem i ozdobioną haftem. Otwiera się za pomocą sprężynki umieszczonej w tylnym brzegu przykrywki. Wewnątrz umieszczony block papieru i ołówki.

Piekąc mostek cielęcy nazywany, można kości wyluzować z niego, dopiero pod błoną nadziąć i upiec w piecu.

Każdy siekany lub bity kotlet cielęcy zamiast w jajku umoczyć w roztopionem maśle, posypać bułką, ułożyć na sicie a potem na gotujące się ale nierumiane jeszcze masło rzucić.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Pekeflejsz z purée z grochu.
3. Szpinak z omletem (suszony).
4. Zając z kompotem lub z sałata z jarzyn.
5. Budyń czekoladowy.

UWAGA.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 49 „Bluszczu“ służy też do N-ru dzisiejszego.

WYDAWNICTWA

L. Ćwierczakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1891 (rok 16-ty). Cena kop. 50.
2. **„Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla kobiet“** (wydanie 2). Cena rsr. 1 kop. 40.

3. **„365 Obiadów“** (wydanie 15) rsr. 1 kop. 50. W oprawie rsr. 1 kop. 65.

4. **Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów,** za które autorka nagrodzona została medalem srebrnym na Wystawie przemysłowej (wydanie 13). Cena rsr. 1 kop. 30 w oprawie.

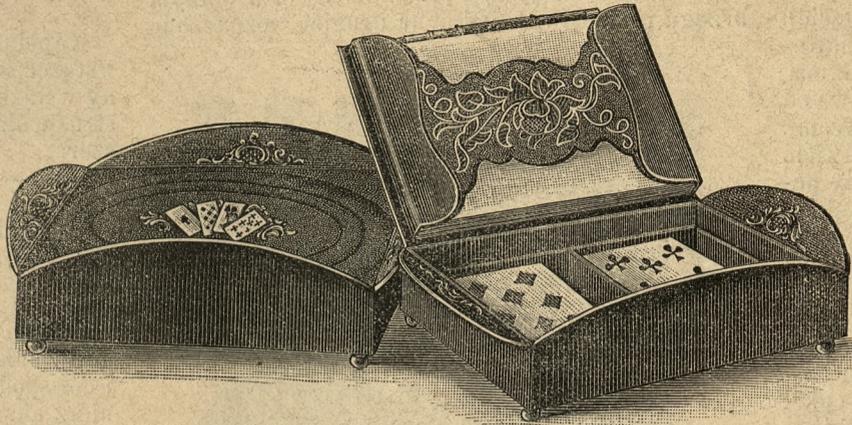
5. **„Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“** czyli „Porządki domowe.“ Cena k. 40.

6. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rsr. 1.

Rękawiczki do froterowania (roboty drutowej).

Rycina Nr 27.

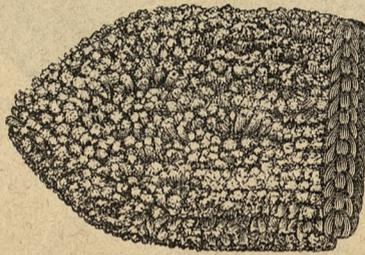
Rękawiczki wykonane na drutach bardzo cienkim i grubszym szpagatem otoczone rzędem powietrznych oczek wykonanych 8 drutową ponsową bawełną. Każdą połowę rękawiczki wykonać oddzielnie na założeniu 30 oczek z cienkiego szpagatu i wykonać tam i napowrót 80 kolei zwyczajnie, przyczem w każdej 2 z rzędu kolei wrabiać grubszym szpagatem rząd pukli, które po wykończeniu roboty należy sciąć. W ostatnich 26 kolejach należy gubić ocz. z obydwóch brzegów każdej nieparzystej kolei, po wykończeniu zeszyć połowy ścięgiem obrzucanym.



Nr 26. Szkatułka na karty.

Doświadczenia praktyczne.

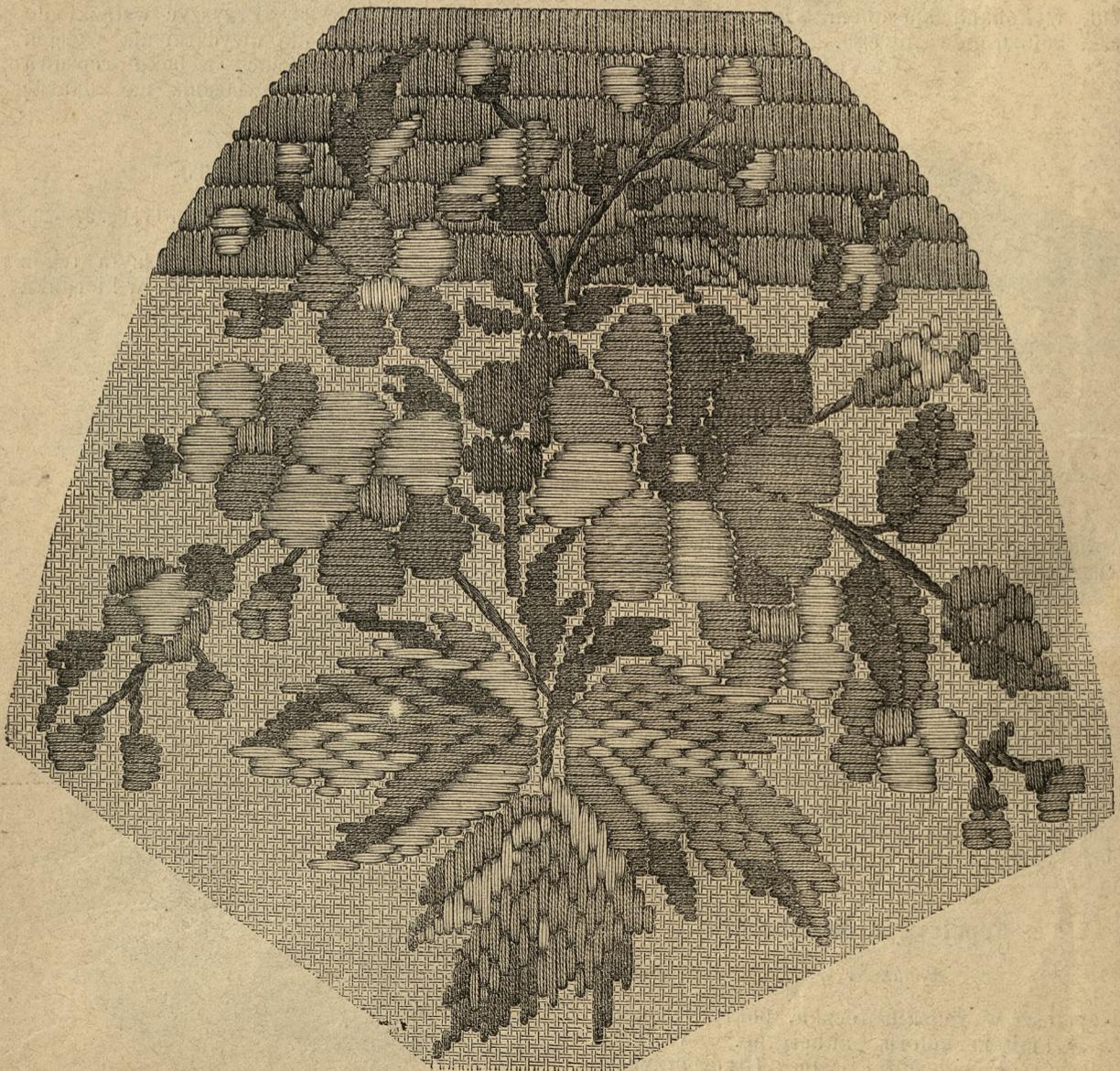
Robiąc likiery należy koniecznie cukier rozpuścić w wodzie i rozpuszczony dopiero na ogień wstawić, gdyż postawiwszy na ogniu przed rozpuszczeniem zagotuje się, zanim się zupełnie kawałki rozpuszczą.



Nr 27. Rękawiczka do froterowania (roboty drutowej).



Nr 28. Haft do ryc. Nr 28.



Nr 29. Haft do ryc. Nr 29.